NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 8 stycznia 1910. **Nr. 2.**

Straszne zderzenie pociągów.

(Treść na str. 7).



Wielki Fry[illegible] [illegible]wskiego

Do naszych P. T. Czytelników i Prenumeratorów w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem!

Ze względu na ciągłe nieporozumienia i zapytania, zwracamy jeszcze raz uwagę, że ekspedycya naszego pisma **na Królestwo Polskie i Cesarstwo,** odbywa się w **Warszawie** i stamtąd też pismo nasze bywa Prenumeratorom rozsyłane. Pismo nasze nadchodzi do Warszawy każdego piątku rano i tegoż samego dnia bywa wszystkim Prenumeratorom w Królestwie i Cesarstwie rosyjskiem rozsyłane. **Nie należy** zatem **przedpłaty z Królestwa i Cesarstwa posyłać do Krakowa** ale do biura

G. UNGRA, w Warszawie,

Aleja Jerozoliska 78,

albo też można pismo zamawiać **za pośrednictwem każdej księgarni** tak **w Warszawie jak i na prowincyi.**

Cena pisma umieszczoną jest w nagłówku!

Przesilenie gabinetowe w Turcyi.

Wiadomość o nowem przesileniu gabinetowem w Turcyi była znowu jedną z tych niespodzianek, których wiele zgotowali już Europie Młodoturcy, a których jeszcze dosyć zgotuje od fundamentów przeobrażające się życie państwowe Turcyi.

Jak w chwili zamachu stanu, a następnie w chwili poskromienia reakcyonistów, Młodoturcy są nadal stronnictwem, decydującem o losach Porty i reprezentującem właściwy rząd.

Od pewnego czasu zauważyli oni, że do komitetu młodotureckiego zaczynają przedostawać się prądy reakcyonistyczne. Postanowili więc oczyścić atmosferę polityczną z tych niewygodnych dla się naleciałości i w pierwszym rzędzie zwrócili się przeciw wielkiemu wezyrowi Hilmi-baszy, którego posądzali o sprzyjanie żywiołom reakcyjnym. Komitet młodoturecki, który w myśl nowej ustawy o stowarzyszeniach przybrał markę organizacyi oświatowej, a prowadzenie polityki oddał swym reprezentantom parlamentarnym, miał mimo wszystko dość siły, aby obalić Hilmi-baszę, tego samego, który niedawno z trudnej sytuacyi parlamentarnej, wywołanej sprawą kolei Bagdadzkiej, zdołał wyjść obronną ręką i zapewnić sobie votum ufności większości Izby.

Zdaje się, że na obalenie Hilmi-baszy wpłynęło w dużym stopniu zawieszenie „Tanina", organu młodotureckiego. Mówią nawet, że była to osobista zemsta Młodoturków za zawieszenie przez wielkiego wezyra tego popularnego dziennika młodotureckiego. Na następcę Hilmi-baszy został powołany Hakki-bej, dotychczasowy ambasador turecki w Rzymie.

Zamach w Petersburgu.

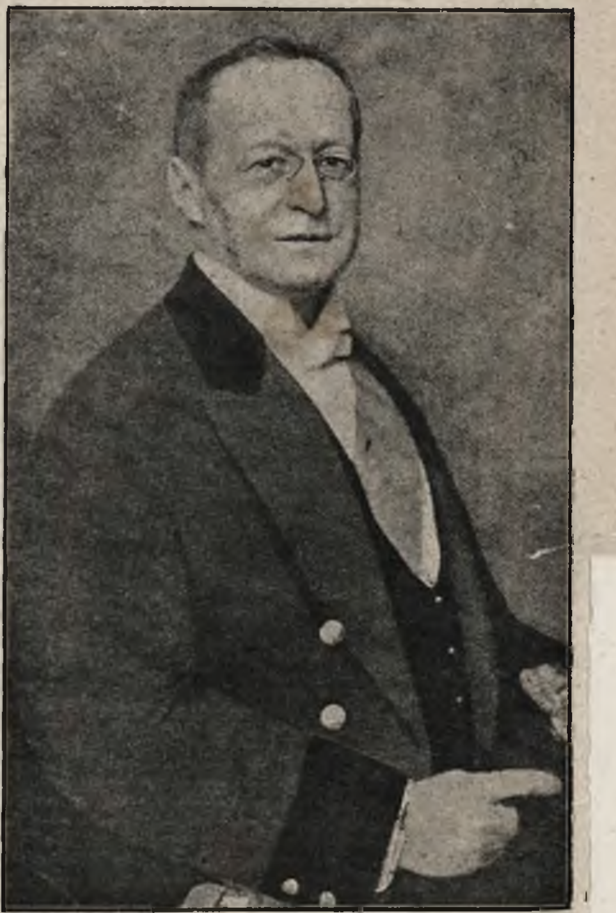
Najgłośniejszą dziś w całym niemal świecie sprawą jest zamach dynamitowy, dokonany przed kilkunastu dniami w Petersburgu. Jak już w poprzednim numerze donosiliśmy, ofiarą jego padł pułkownik ochrany petersburskiej, Karpow. Pisma rosyjskie zajmują się wciąż bardzo szczegółowo tą nadzwyczaj sensacyjną aferą, omawiając szeroko tło, na którem sprawa jest oparta.

Tłem tem jest niewątpliwie niezdrowa atmosfera, jaka od czasów rewolucyi unosi się nad całem państwem rosyjskiem. Z niej zrodził się Azief, z niej pochodzi Bakaj i inni tego rodzaju bojownicy rewolucyi i terroru w jednym dniu, a wierni słudzy tajnej policyi w drugim. Z niej też wyszedł Woskresieński, czy też Pietrow, sprawca zamachu na Karpowa.

Stwierdzono już, że był on swego czasu na usługach tajnej policyi rosyjskiej, bądź jako ajent, bądź jako rewolucyonista. Służbę tę zaczął w czasie przymusowego pobytu na Syberyi. Kiedy rewelacye Burcewa zdemaskowały Aziefa i innych ajentów prowokatorów, Woskresieński postanowił nawrócić się. Udał się do Paryża i wobec komitetu rewolucyjnego



Przesilenie gabinetowe w Turcyi: Dymisyonowany wielki wezyr Hilmi-basza.



Zgon wybitnego finansisty: Ernest Mendelssohn-Bartholdy.



Zamach w Petersburgu: Spustoszone wnętrze mieszkania Woskresieńskiego. W pośrodku portret ofiary zamachu, pułkownika Karpowa.



Zamach w Petersburgu: Pokój Woskresieńskiego, gdzie nastąpił wybuch.

przyznał się do swej roli ajenta policyjnego, poczem podjął się zmazać swą winę przez jakiś czyn rewolucyjny.

Ekspijacyą tą był właśnie zamach na pułkownika Karpowa. Zamach się udał, pułkownik Karpow stracił życie, ale Woskresieńskij dostał się w ręce władz i odpowie ciężko za swój czyn.

Zgon wybitnego finansisty.

W dzień wigilii zmarł w Dreźnie nagle jeden z najwybitniejszych finansistów niemieckich, Ernest Mendelsohn-Bartholdy. Bratanek znakomitego kompozytora a prawnuk filozofa Mojżesza Mendelsohna, był człowiekiem wysokiej bardzo kultury i szczerym mecenasem sztuk pięknych. Przedewszystkiem jednak był finansistą.

Ukończywszy studya uniwersyteckie, poświęcił się zawodowi bankierskiemu, rozpoczynając go w głośnej firmie swego ojca w Berlinie. Swemi niepospolitemi zdolnościami podniósł on to przedsiębiorstwo w ciągu 40 lat, przez które stał na jego czele, do poziomu bardzo wysokiego, a równocześnie zdobył olbrzymi majątek. Za zasługi, położone dla państwa, został podniesiony do stanu szlacheckiego, a następnie otrzymał godność rzeczywistego tajnego radcy i tytuł ekscellencyi. Od dwu lat usunął się od interesów, a poświęcił wyłącznie tylko swym bogatym zbiorom sztuki.

Odznaczenie szefa kancelaryi cesarskiej.

Cesarz w uznaniu zasług szefa swej kancelaryi gabinetowej, Franciszka Schiessla, który od 10 lat zajmuje to zaszczytne stanowisko, nadał mu tytuł austryackiego barona.

Franciszek baron Schiessl urodził się w r. 1844 i poświęcił się służbie dyplomatycznej. W r. 1889, w którym powołany został na posterunek dyrektora kancelaryi cesarskiej, był upełnomocnionym ministrem i nadzwyczajnym posłem przy dworze serbskim. Poprzednio tak jako *attaché* w Petersburgu, później zaś jako dragoman ambasady w Konstantynopolu, a następnie jako poseł w Teheranie, umiał wyróżnić się jako dyplomata nadzwyczaj uzdolniony. To też, gdy radca Braun przed 10 laty z powodu podeszłego wieku opuszczał tak ważny posterunek szefa kancelaryi cesarskiej, powołanie Schiessla na to odpowiedzialne stanowisko było dowodem cesarskiego zaufania.

Dziś, po 10 latach służby na nowem stanowisku, obdarzył cesarz szefa swej kancelaryi w dowód wdzięczności za sumienne sprawowanie obowiązków tytułem barona.



Odznaczenie szefa kancelaryi cesarskiej: Baron Franciszek Schiessl.

Zamordowanie premiera koreańskiego.

Japonia, która od szeregu lat prowadzi politykę ekspanzywną i dąży do rozszerzenia granic swego panowania, zdołała w krótkim stosunkowo czasie opanować prawie zupełnie Koreę, tak iż kraj ten jest właściwie prowincyą Japonii. Ludność miejscowa przeważnie niechętnie poddaje się przewadze rządów japońskich, zastępcy też i przedstawiciele zwierzchniczego państwa, jakoteż ci Koreańczycy, którzy sprzyjają Japonii, są przedmiotem nienawiści i gwałtownych ataków ze strony tubylców.

Pierwszą ofiarą tych stosunków był zasłużony mąż stanu, książę Ito, którego zamordował pewien Koreańczyk na stacyi kolejowej w Charbinie, drugą premier ministrów koreańskich Yi Wan Yon, który niedawno padł ofiarą zamachu, dokonanego również przez członka partyi, nieprzyjaznej Japończykom. Partya ta bowiem widziała w premierze gabinetu ministeryalnego zdrajcę sprawy samodzielności kraju, widziała w nim gorliwego sprzymierzeńca Japonii i narzędzie w ręku sprytnych dyplomatów japońskich.

Sprawca zamachu jest człowiekiem młodym, 20-letnim. Yia zamordował on zapomocą sztyletu, rzu-



Ze świata liliputów: Trupa liliputów, w teatrze „Olimpia“ w Londynie.



Po 50 latach wygnania: O. Juwenalis, kapucyn

ciwszy się na premiera w chwili, gdy ten odbywał przejażdżkę powozem przez ulice Seulu, stolicy Korei.

Rower dźwigniowy.

Rower, najpopularniejszy obecnie bezsprzecznie środek komunikacyjny, doczekał się udoskonalenia przez najnowszy wynalazek p. Bazylego Łopatyńskiego, technicznego urzędnika Wydziału krajowego, zamieszkałego w Buczaczu. Rower ten został już opatentowany we wszystkich państwach cywilizowanych. System przenoszenia siły zmienia w zupełności dotychczasowy sposób poruszania roweru przez [illegible] zębatego z korbami, dwiema dźwigniami.

Przewodnia myśl wynalazku jest nadzwyczaj prosta i polega na tem, że siłę nacisku nóg przenosi się zapomocą dźwigni na tylne koło; przytem wykonywa się nogami ruch stępowy, nie różniący się od zwykłego chodu, zamiast dotychczasowego ruchu obrotowego, męczącego i nienaturalnego.

Na rowerze tego systemu ułatwiona jest szczególnie jazda pod górę, gdyż wobec tego, że odpada potrzeba wykonania całkowitego obrotu kółka zębatego z korbami, wystarcza choćby najmniejsze wychylenie dźwigni, aby wprawić w ruch maszynę



Zamordowanie premiera koreańskiego: Premier Yi-Wan-Yon.

i zaoszczędzić połowę pracy, a mimo to osiągnąć co do chyżości ten sam rezultat.

Tem samem rozwiązany został, uważany w kołach fachowych za niemożliwy, problem dowolnej zmiany przenośni od najmniejszej do największej wedle siły i woli jeźdźca.

Wobec dotychczasowych ofert, poczynionych wynalazcy, spodziewać się należy rychłego rozpowszechnienia rowerów nowego systemu.

Na jednej illustracyi widać wynalazcę na rowerze, zaś na drugiej uwidoczniony jest mechanizm.

Ze świata liliputów.

Zdawałoby się, że lilipuci mogą istnieć tylko w świecie fantastycznych opowiadań i bajek, przeznaczonych dla dzieci poniżej lat 10. A jednak niedawno w teatrze „Olympia“ w Londynie wystąpiła cała trupa liliputów, złożona z kobiet i mężczyzn i zadała kłam powszechnemu mniemaniu, jakoby ich na świecie nie było. Siedmdziesiąt osób, zebranych przez sprytnego impressaria z całego świata, rozbiło namioty w Londynie, a dla pomieszczenia ich wózeczków i koników, powstała jakby osobna dzielnica lilipucia.

Łatwo zrozumieć, że tysiące widzów ciągnęło każdego dnia do „Olympii“, by przypatrzeć się produkcyom i życiu karzełków, tworzących międzynarodową rodzinę. Śmieszności i scen zabawnych było tam bez liku, mało kto jednak zdawał sobie sprawę z tego, że przeważna część tych liliputów zawdzięcza swe kalectwo i swój nienaturalny rozwój zbrodniczym instynktom rodziców lub nieludzkich impresaryów.



Poseł łapownik: Generał Nikiforow.

Uderzającem było, że pośród członków tego towarzystwa lilipuciego, znajdowali się nawet 70-letni starcy a najmłodszy liczył 21 lat. Interesującem jest, że stosunkowo duży procent stanowili w tej trupie lilipuci pochodzenia niemieckiego.



Rower dźwignią: Ulepszony mechanizm roweru dźwigniowego.



Rower dźwigniowy: Wynalazca B. Łopatyński, na rowerze własnego pomysłu.

...siere.

...wiek bez twarzy.

(Ciąg dalszy).

...djąłem się obrony sprawy pańskiego syna!
...n?... pan jest adwokatem Williama! pan
Marcadian! — wykształcił z siebie Joe, jakby
...ny zwrotem, jaki przybrała rozmowa.
...hnąłem głęboko... Wielki ciężar spadł mi
... Wiedziałem, że mój szwagier nie zna wcale
...gielskiego i skorzystałem z tego, by obo-
...osem, nie odwracając się nawet, rzucić
... to zdanie:
...h go pan sprowadzi do sprawy natury
...
...vstko będzie w swoim czasie — odparł
...
...możemy rozmawiać? — zaniepokoił się
... obca mowa uraziła.
...okojnie. Jonatan Brentano z Bo-
...iem... Jest to jeden z mych naj-
... Proszę nie krępować się, me-
...
...lliam Duncan, lekarz alje-
... użycie wszelkich sposo-
... prawo, by raz położyć
...iemu sekwestrowi, któ-
...zyjaciółka, panna Łucya
...i naszego prawa, przy-
...atrzeć, jak syn korzysta
..., jak również widzieć,
...awnym radom.
... prosto w nos Marca-
...zceremonialnością, wsku-
...za człowieka źle wycho-
...
...upełnomocnionego do bro-
...na!... Czyż interes mego
... się ożenił z taką dzie-
...
...ia, na które ja nie mogę
...
...ówi nierozważnie o se-
... mego sekwestru!... Jest tego
mało, iż pan sam może się o tem przekonać w ciągu pięciu minut... Niech pan zada sobie tyle trudu i uda się do merostwa w Neuilly, a zobaczy pan tam ogłoszone według prawa zapowiedzi o przyszłym związku, który jest zresztą mojem dziełem, między obecnym tu Jonatanem Brentano, mym starym przyjacielem, a tą bardzo praktyczną Łucyą Weill, która woli milion posagu, niż gołą miłość lekarza psychiatry, mówiąc nawiasem między nami, zwaryowanego.

Obróciłem się trochę i ujrzałem, jak Marcadian dla ukrycia swego pomieszania, wycierał nerwowo szkła swych binokli.

— Jest to — rzekł — rozwiązanie sprawy bardzo dodatnie... Zawiadomię o tem swego klienta... zachowując dla siebie możność czynienia dalszych kroków.

— Niech pan nawet powie swemu klientowi, że źle czyni, dramatyzując tak prostą sprawę i najlepiej zrobi, jeżeli przyjdzie tu porozumieć się ze swym szczęśliwym rywalem, co jemu tylko wyjdzie na dobre.

— Zgoda, chętnie! Jestem zadowolony... zadowolony więcej, niż mogę to panu powiedzieć!... Jeżelibym poddał się wzruszeniu, wyznałbym panu, dlaczego... jestem osobiście szczęśliwy z wynalezionego przez pana rozwiązania sprawy!... Nie mam jednak prawa tego uczynić... nie mogę sobie na to pozwolić!...

Niepostrzeżenie przestawiłem swój taboret... Patrzyłem teraz prosto w twarz Marcadianowi i prawie że nie poznawałem go. Nie ...em uznać, by ten wzruszony i wahający się człowiek był stanowczym i pewnym siebie adwokatem o wyraźnej i dobitnej wymowie, jakim go znałem od dwudziestu lat. Co się działo w umyśle mego szwagra? Jakie tajemne uczucia nim miotały, iż zdradzał się z niemi przed obcymi?...

Joe Duncan wzruszenie jego przypisywał boleści rodzinnej, jaka spadła na sławnego adwokata przed dwoma tygodniami. Zaczął też wypytywać się łagodnym tonem, jakiego nigdy prawie nie używał:

— Wiem, jak i wszyscy, drogi mecenasie, o tej strasznej tragedyi... Ten niezwykły wypadek bardzo mnie zainteresował... Tak, jestem nim przejęty... Prasa nie wszystko powiedziała, nie prawdaż?

— Cóż ona może powiedzieć więcej?

— Policya przecież...

— Policya! ach! tak, pan jest jeszcze pod wpływem kawałków Sherlocka Holmesa. Zanudzające opowiadania. Z czego pan wnosi, że policya jest inteligentniejsza od przestępców? Czy widział pan kiedykolwiek gracza, któryby miał w ręku wszystkie atuty — a taką jest właśnie rola przestępcy, gdyż on wie z góry to, co ajent musi dopiero odkryć — i zdradzał się z niemi umyślnie, by ułatwić grę swemu przeciwnikowi?

Wzruszył ramionami...

— Są to tylko złudzenia, którym się poddają ludzie naiwni! Jest to tak słuszne, jak gdyby ktoś twierdził, że ślepi lepiej widzą od ludzi z dobrym wzrokiem!

I dalej tłómaczył z pewną żywością w głosie:

— Czy pan wie, że na sto zbrodni znanych ...pan rozumie, znanych... statystyka wykazuje tylko 26 zbadanych... mówię tylko 26... Z tych dwudziestu sześciu zaledwie w 12 wypadkach zbrodniarz jest odkryty... pan słyszy, w dwunastu!... na tych 12 zbrodniarzy 9... powtarzam 9... przyznało się dobrowolnie i własnowolnie do winy... Pozostaje więc jedynie 3, których można przyznać gorliwości i sprawności policyi...

Zakaszlał i zrobił małą przerwę...

— Czy mam jeszcze dodać, że opierając się na liczbie osób zaginionych, te 100 zbrodni znanych należy podnieść do 300 takich, które nigdy nie będą poznane! Do tych 300 zaginień zgłoszonych należy dodać prawie drugie tyle, o których policya nic nie wie!... Sam już pan z tego wyprowadzi wniosek, że na 700 zbrodni popełnionych, sumy wydawane na utrzymanie Sherlocków Holmesów pomagają do odkrycia 3... tak, 3, master Duncan. Wiem jednak, że romansów nie pisze się zapomocą cyfr!...

Teraz już stanowczo nie poznawałem Marcadiana, sławnego paryskiego adwokata! Joe, nie bardzo wrażliwy na wymowność cyfr — w tej przynajmniej materyi — starał się rozmowę sprowadzić do pożądanego przez siebie punktu.

— Zapewne była jakaś romantyczna przygoda w tym wypadku rzeźbiarza Barrabasa, który w opinii ogólnej zasłużył sobie na miano króla waryatów!

— Opinia ogólna tyle właśnie jest warta, co i przemyślność detektywów! Barrabas, którego ja teraz lepiej znam, niż ktokolwiek inny, był prawdziwie mądrym!...

— Mądry! — zawołał Joe. — Co też pan mówi! A czy winny, czy niewinny...

— Jest niewinny i to nie podlega najmniejszej wątpliwości! — rzekł stanowczo Marcadian.

— Hm! — mruknął Joe — w takim razie należy podejrzywać jego syna Polidora?

— Polidor jest niewinny...

— Pan jest zbyt zainteresowany w tej sprawie, by być bezstronnym.

— Dowód, że jestem bezstronnym, ma pan choćby w tem, iż uznaję razem z panem: Polidor jest niewinny jedynie dlatego, ponieważ uniewinnia go jego ojciec.

— A więc pan przypuszcza, że to syn jest zabójcą matki?

— Przypuszczam tu wypadek... straszny... straszniejszy od tego, jaki zmyślił jej nieszczęśliwy mąż... Lecz cóż ja panu opowiadam!...

Przesunął drżącą ręką po głowie.

— Mówię niedorzecznie — ciągnął dalej... Mój szwagier był wzorem małżonków. Polidor najczulszym z synów... lecz moja biedna siostra nie jest jedyną ofiarą tej niezbadanej tajemnicy. Jest jeszcze Ewelina, osierocone dziecko, którem zaopiekowałem się... Barrabas wiedział, co czynił... Znam swój obowiązek!

Marcadian, brat mej ukochanej Gabryeli, stawał się człowiekiem nie do poznania... Jego sympatya dla mnie była dobroczynnym balsamem, jakiego nigdy nie spodziewałem się po jego egoistycznym charakterze... Z tego niejasnego sposobu wyrażania się o tak ciemnym dramacie, mimo iż był to człowiek umysłu jasnego i kategorycznego, domyślałem się, iż pojął tę tajemnicę i znaczenie mego zniknięcia. Odczułem też w głębi serca wielką wdzięczność dla tego człowieka, który mnie bronił, bronił Polidora, by przedewszystkiem obronić swą zamordowaną siostrę i oszczędzić córkę jej od niesławy.

Gdym wstał, by się pożegnać, ujrzałem, jak Marcadian wyciera szybko łzę, która spływała mu po bladem policzku. Łkanie stłumione dusiło mi piersi. Musiałem uczynić wysiłek, by nie rzucić mu się w ramiona i nie zawołać:

— To ja, Barrabas! Ty nie poznajesz mnie, Marcadianie?

Odprowadzając gościa, Joe Duncan zapytał mimochodem:

— Pan już dawno jest w stosunkach z Williamem?

— Od następnego dnia po dramacie... Bardzo usilnie musiał nalegać i prosić, bym zajął się jego sprawą, jeżeli zgodziłem się na to w podobnej chwili, gdy nie mam wcale głowy do interesów...

— Od następnego dnia po dramacie? — powtórzył Joe... To dziwne... Co za zbieg okoliczności!

— Istotnie, dziwny zbieg okoliczności...

— I pan go często widuje?

Marcadian wydał się zakłopotanym tym pytaniem.

— Codziennie — odpowiedział po pewnem wahaniu... Nieszczęście, widzi pan, wytwarza między ludźmi cierpiącymi pewien węzeł instynktownej sympatyi... Jest to młody człowiek o pięknej kulturze, miły towarzysz... prawie co wieczora bywa u mnie na partyi bridża...

Zrobił ruch, jakby chciał powstrzymać zwierzenie, które miał już na ustach.

— Nie... Nie mogę panu powiedzieć... Tajemnica zawodowa, panie Duncan... Zresztą i tak by pan mnie nie zrozumiał!... Przyrzekam jednak panu uczynić wszystko, co będzie w mej mocy, by go przywieść do rozumu względem tej Łucyi Weill.

— Niech mu pan powie — dodał Joe — że wizytę jego przyjmę z wielką radością... Proszę także nadmienić mu koniecznie o małżeństwie Łucyi z Jonatanem Brentano... Będzie pan pamiętał nazwisko?... Jonatan Brentano z Bostonu... Będzie on wiedział, co to ma znaczyć... i silniej to do niego przemówi, niż wszelkie argumenty, które pan by mu przedstawiał i których jabym mógł użyć!... Do miłego widzenia, panie mecenasie!

Nie miałem nawet tyle sił, by pożegnać grzecznie zastępcę prawnego Williama Duncana, do szaleństwa zakochanego w Łucyi Weill. Byłem jak ubezwładniony, bez czucia.

...Nerwy me musiały odpocząć... odczuwałem potrzebę wypłakania się jak dziecko... opłakania strasz... nego losu Gabryeli, losu Eweliny i Polidora... i p... płakania nad własnym swym losem. Joe Dunc... siadł okrakiem na krzesło, stojące przy stole, który pozostawałem oparty bez myśli, bez ruch... Twarz podparł swemi potężnemi dłoniami, popatr... mi prosto w oczy i rzekł:

— Czy nie uznaje pan, że ten człowiek ... dość tajemniczy... bardziej nawet tajemniczy ... pana?

— Tak... prawie tyle, co i pan! — odpowie... działem.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, pragnąc przeniknąć aż do głębi mej duszy...

— A więc pan nie jest zabójcą?

Nie rzekłem nic... Mówił dalej:

— To szkoda!

Potem zmienił treść mowy.

— On pana nie poznał nawet po głosie!... Prawda, że pan miał głos zmieniony przez wzruszenie! To było widoczne, przynajmniej dla mnie.

Zamilkł na chwilę i odetchnął głęboko, co można było przyrównać do powietrza, dobywającego się z wielkiego miecha w kuźni... W oczach jego nabiegłych krwią pozostawało ciągle jakieś przykre naprężenie.

— Wszystko jedno — odezwał się... będę spokojniejszy co do pana i co do siebie... trzeba mieć się więcej na ostrożności!... Powracam do czarnej ospy... Nie wiem, ja nie jestem uczonym... Jak pan sądzi, czy można zaszczepić jaki wrzód, naprzykład, wilka na twarzy? Jednem słowem coś strasznego i... stałego?

Musiałem zblednąć na samo wspomnienie tego, co uważałem za głupi żart, gdyż zmienił swą pozę, wzruszył ramionami i rzekł wzgardliwie:

— Wy z tej starej, zatęchłej Europy, nie macie za grosz odwagi!... Nie pojmuje pan własnego swego dobra... a jeżeli domyśla się go pan, to znowu waha się, by przystać na konieczne poświęcenie.

I dalej nalegał niewinnie proszącym tonem:

— Niech pan pomyśli tylko!... Mówię wilk, tak jakbym wymienił wszelki inny środek, służący do zmiany twarzy, ale radykalny, stanowczy, skutkujący raz na zawsze!

VI.

Joe Duncan z dniem każdym tracił po trochu ze swej zarozumiałości i humoru, ja zaś nie bez pewnego strachu patrzyłem na zbliżający się termin, określony w zapowiedziach, kiedy będę musiał stanąć przed urzędnikiem stanu cywilnego, by przyznać, że jestem Jonatan Brentano z Bostonu i że biorę sobie dobrowolnie za małżonkę tę Łucyę Weill, której wcale nie znam!... Liczyłem tutaj naiwnie na jakieś niespodziewane i doniosłe wypadki, które odsuną od mych warg ten kielich pełen goryczy. Takim doniosłym wypadkiem mogła być interwencya

Wiliama Duncana, którego ojciec zapraszał do siebie i którego wizytę zapowiedział nam niejako Marcadian.

Joe miljoner, dla innych powodów oczekiwał z niecierpliwością, równą mej, wizyty swego syna. Wbrew jednak temu, coby można przypuszczać, sądząc po namiętności kochanka, żądnego zobaczyć przedmiot swych płomiennych uczuć, ten William Duncan, lekarz psychiatra, nie dawał najmniejszego znaku życia o sobie... A bardziej jeszcze zdumiewającym był ten fakt, iż przez przeciąg dwóch tygodni nie mieliśmy żadnej wieści od jego słynnego adwokata, mecenasa Marcadiana. Między mną a Łucyą sprawa przez ten czas nie posunęła się ani na krok naprzód. Spoglądaliśmy na siebie z wzajemną niechęcią. Nie ukrywałem wcale niebezpieczeństw, jakie mi mogły grozić potem i rozpatrując to wszystko, co stało się ze mną przed ślubem, pytałem się siebie, co może jeszcze złego przydarzyć mi się po ślubie.

Łucya Weill, w miarę jak zbliżał się ten dzień, zdawała się tyle nabierać pewności siebie, ile Joe i ja traciliśmy jej. Była w zupełności zajęta szczegółami swej toalety ślubnej i jakimiś zamiarami na przyszłość... Joe dał jej wyprawę wspaniałą... Suknia z białej materyi, przetykanej złotem, dziewiczy welon z wiankiem z kwiatu pomarańczowego i na mnie wywierały niejakie wrażenie... Zbyt jednak niepokoił mnie sam akt ślubny, by zwracać większą uwagę na zewnętrzną jego stronę!... Mogła stanąć przy ślubie w swej najstarszej sukni, a również byłoby mi to obojętne! Najgorsze było to, iż musiałem się z nią ożenić.

Joe był zbyt dumny, by żądać wyjaśnień od adwokata swego syna... wnętrzał się przede mną w tydzień dziwnej wizycie Marcadiana.

— A może teraz — poddawałem — pański drwi sobie — proszę wy-ć mi to przypuszczenie — z pana yi Weill!

To bardzo możliwe! — przy-ni — jest tu jednak pewna o której pan nie wie, a mianoże on nie może drwić sobie Jonatana Brentano! I dlatego ja nie rozumiem... nie pojmuję tego!... Niech on ma się na baczności... nie jedną strzałę mam w swym kołczanie!

Widząc, że Joe uspokoił się, zaryzykowałem:

— Jeżeli on przestał zajmować się Łucyą, to w takim razie ta ceremonia ślubna może okazać się środkiem zupełnie bezcelowym?

— Głupiec! — mruknął Joe, wzruszając z politowaniem ramionami. Po co gadać o rzeczach, których się nie zna!

— Ja wiem... — szepnąłem.

— Pan wie? Co pan wie? Wie pan, potrójny kulfonie, że dzięki pańskiemu małżeństwu z Łucyą Weill, czyli przez urzędowe uznanie pana jako Jonatana Brentano, połowę mej kolosalnej fortuny dyabli biorą? ...Wie pan, bezmyślny gentlemanie, że przez to sto pięćdziesiąt milionów dolarów, czyli siedmset pięćdziesiąt milionów franków przechodzi z mojej kieszeni do pańskiej?... A teraz niech mi pan wytłómaczy, dlaczego William, który wie wszystko, który zna historyę Jonatana Brentano... całą historyę... nie czyni ani jednego kroku, nie chwyta się żadnego sposobu, by przeszkodzić pańskiemu małżeństwu?... Mówię panu, że od tego można stracić głowę, że ten chłopiec przyprawia mnie o szaleństwo!...

I wyszedł, trzaskając głośno drzwiami.

Wspomniałem już, że pokój mój graniczył z pokojem Łucyi. Usłyszałem, że Joe wszedł do niej. Nadstawiłem uszu; dobiegały mnie wybuchy jego głosu, nie mogłem jednak poznać treści ich rozmowy... Rozróżniałem tylko wymysły tak ordynarne, iż prosta przyzwoitość nie pozwala mi ich tu po-... Oddzielnych słów nie byłem w stanie po-... jedno i domyśleć się przez to kompletnego ...zenia... Uderzyło mnie natomiast jedno dłuż-... ...ražne zdanie:

...iech jeszcze raz cię zobaczę, że ściskasz ... Ach, ty niecne stworzenie!

...ać tu muszę ku swemu wstydowi, ku ...tydowi narzeczonego, znajdującego się ... ślubu, że to nowe odkrycie wcale mnie ...ło... Bynajmniej nie byłem wrażliwy na to... Umysł mój przejęty był tylko kwestyą liczb. Naprożno myślałem, po co on podkupuje mą mizerną osobę tak potężną sumą!... Dlaczego ja przed miesiącem wart byłem według jego własnej oceny tylko dwieście tysięcy dolarów, a teraz tak nagle podskoczyłem w cenie, aż do stu pięćdziesięciu milionów dolarów?... Awantura moja zaczynała przybierać jakieś fantastyczne rozmiary... Na razie jednak najwięcej mnie interesowała i najprędzej chciałem poznać awanturę tego tajemniczego Brentano, którego tak ni stąd ni z owąd zacząłem odgrywać rolę. Niestety! nie byłem w stanie przypuszczać nawet, że od dnia, w którym poznam prawdziwą historyę prawdziwego Brentano, wszystko to, co do tej pory stało się ze mną, będę uważał za bagatelki bez znaczenia.

. . . .

Była godzina czwarta po południu. Z okna swego przyglądałem się melancholijnie zachodzącemu za wysokiemi drzewami parku słońcu i odpoczywałem w spokoju, gdy nagle jak poryw wiatru



A więc pan nie jest zabójcą?

wpadł do mego pokoju zadyszany Dżim... Zapewne biegł po schodach niezwykle szybko, gdyż teraz nie mógł złapać oddechu i odezwać się... Przewracał tylko dokoła przestraszonemi oczami, przypuszczając bez wątpienia, że dzięki tej wyrazistej mimice i mnie się udzieli jego przerażenie!

— Panie, wykrztusił z trudem... Na dole jest drugi panie!

— Kto?

— Drugi! Panie William i mój gospodarz! Oni się zagryzą!... Niech panie prędko schodzi!...

Dla ciekawości mojej wystarczającem było to wezwanie... Zbiegłem szybko do salonu i zaraz na progu przekonałem się, że Joe Duncan usprawiedliwiał w znacznej mierze wieść, jaką mi przyniósł negr. Jak tylko ukazałem się, Joe przyskoczył do mnie i zawołał gniewnie.

— Master Brentano, muszę porozmawiać sam ze swym synem!

Wysoki jednak i elegancki, młody mężczyzna, który stał spokojnie pośrodku salonu ze swym cylindrem w ręce, odparł stanowczo:

— Przepraszam, ojcze!... Master Brentano nie jest tu zbyteczny... Uważam, że może słyszeć wszystko, co ja mam do zakomunikowania ojcu... Powiem nawet więcej: powiem, że obec... jest konieczna...

— Wcale nie! — krzyknął Joe — ... mi energicznym ruchem na drzwi.

— Przepraszam! — uparł się William, ...jąc mnie stanowczo, bym siadł... Ja jeszc... powiem: rozmawiać będę jedynie w obecn... Jonatana Brentano!

I skłonił się, dodając:

— Można się na to albo zgodzić, albo ... dzić!

— Jonatanie! — krzyknął Joe, złapał m... żadnego szacunku za ramię, okręcił mną b... i posadził z taką siłą na fotelu, że aż spręż... demną zadźwięczały... Brentano, mój przy... wspólniku, wiesz, że nieporozumienia, jakie... wniej rozdzielały, ustały już i że zawarliś... pokój... Twój honor jest w grze... nie ... więc o umowie! Zabraniam ci odpowiadać ... kolwiek pytanie mego syna!

Nie wiedziałem nic o żadnych niepor... ani umowach... i rozmowa ta w nicze...
naruszać mego h...
jednak spojrzeniu
łem rozkaz, aby...
głupstwa, mie...
dotyczy Bren...
nie wiedział
sztywno n...
kesa i po...
baczności,
milczenie...
— Oh
śmiechnął
człowiek...
czuciach g...
dla pana ...
jako dzieck...
śmierci moj...
już lat, po
lepiej odemn...
żałobę po pa...
że odnalazłe...
— Chod...
przerwał b...
tych wylew...
— Ist...
Brentano — odezwał się znowu ... kojnie lekarz psychiatra.

I zwracając się do mnie, mówił dalej swym dźwięcznym głosem:

— Domyślam się łatwo pańskiego zamiaru. I pan również chciał mnie uchronić od ciężkiego błędu, jakim byłoby poślubienie mej kochanki. Wynalazł też pan na to środek lepszy niż mój ojciec i istotnie niezwykle oryginalny. Jeżelibym słuchał tylko głosu swego serca, gdy mi pan Marcadian oznajmił pański zdumiewający pomysł, przybiegłbym tu zaraz, by rzucić się w pańskie ramiona i zawołałbym: „Dosyć już szaleństw, Jonatanie! Zrzekam się Łucyi Weill. Nie należy posuwać żartów do ostateczności". Wiedziałem jednak, że mam przed sobą jeszcze piętnaście dni i chciałem je spędzić w sposób bardzo poważny. Zaraz się pan o tem przekona, master Brentano.

— Jutro właśnie Jonatan poślubia Łucyę! — przypomniał Joe.

— Przecież już powiedziałem, że drwię sobie obecnie z Łucyi Weill! — zawołał William. Czyż ojciec nie słyszał?

Po tem twierdzeniu odetchnąłem z ulgą. Zdawało mi się, że wobec tego stanowczego oświadczenia, jestem zwolniony z wszelkich zobowiązań i względem milionera, którego podstępy były już bezcelowe i względem tej młodej kobiety, której jedynem pożądaniem było dwieście tysięcy dolarów. William Duncan oznakami swej czułości dla mnie zdumiewał bardzo Jonatana Brentano, wkrótce jednak w prawdziwe osłupienie miał wprawić rzeźbiarza Barrabasa. Podsunął swój fotel ku Joe Duncanowi i tym samym powolnym tonem wyrzekł:

— Mój drogi ojcze, dziękuję ci za tę wielką usługę, jakąś mi oddał, zabierając ode mnie Łucyę i sprzeciwiając się związkowi, który byłby mą prawdziwą hańbą i mojem nieszczęściem. Wiem, że dla uniknięcia tych dwu katastrof, byłeś gotów do energicznych środków i do wydziedziczenia mnie. Było to twoje prawo, którego nie mogłem ci wcale ... przeczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Nowy król Belgów.

Król Albert należy do najpopularniejszych osobistości w Belgii. Że tak jest, udowodniła uroczystość koronacyjna, w ciągu której ludność stolicy owacyjnie witała nowego króla, przejeżdżającego tryumfalnie na koniu przez ulice miasta.

Król Albert umiał też sobie zaskarbić sympatyę Belgijczyków. Niezwykle skromny, szanujący go-



Nowy król Belgów: Najstarszy syn króla Alberta, ks. Leopold obecny następca tronu belgijskiego.

ność ludzką w każdym człowieku, nienawidzi król Albert wszelkiego ceremoniału a kto miał sposobność z nim rozmawiać, ten przekonał się, że król Albert stara się każdego tak usposobić, by wobec niego nikt nie czuł się skrępowanym, lecz najzupełniej swobodnym.

O prostocie nowego króla świadczy najlepiej fakt, że zazwyczaj w teatrze zajmuje wraz z żoną miejsce nie w loży królewskiej ale w krzesłach między publicznością.

Nie mniejszą sympatyą od króla Alberta cieszy się jego żona Elżbieta. Stoi ona na czele największych instytucyi humanitarnych Belgii. Jest protektorką stowarzyszenia „Świeżego powietrza dla maleństw" i „Dzieci męczenników". Oboje zaś przewodniczą „Lidze narodowej walki z suchotami".

Nazajutrz po pogrzebie Leopolda II. odbyła się uroczystość koronacyjna. Właściwie w Belgii obchodu koronacyjnego niema, bo król belgijski korony na oczy nie ogląda. Uroczystość zwana mylnie i fałszywie koronacyjną, polega na tem, że król przed przedstawicielami narodu składa w parlamencie uroczystą przysięgę na konstytucyę. Izba, senat i przedstawiciele ciała dyplomatycznego słuchają w milczeniu tego aktu przysięgi a następnie mowy tronowej, którą zwyczaj każe wygłosić w pozycyi siedzącej. Król Albert obecnie jednak częściowo od tego zwyczaju odstąpił i ustęp swej mowy, dotyczący reform społecznych w Kongo, wygłosił powstawszy z tronu. Socyalistyczni posłowie, obecni wbrew swym dawnym tradycyom na tej uroczystości zaprzysiężenia nowego króla, oklaskami manifestacyjnymi nagrodzili tę część mowy królewskiej.

Że nowy król taktownem postępowaniem wobec wszystkich klas umie na każdym kroku zaskarbiać sobie sympatye, o tem wiedzieli nawet najradykalniejsi przywódcy socyalistyczni w Belgii. W dniu uroczystego wjazdu króla Alberta z Laeken do Brukseli, który to wjazd tradycyjnie musi się odbywać na koniu, socyaliści demonstracyjnie wywiesili na domach ludowych czerwone chorągwie, spowite krepą. Król dość nieprzyjemnie był zdziwiony, spostrzegłszy te sztandary i zatrzymawszy konia kazał jednemu ze swej świty dowiedzieć się, co oznaczają krepą spowite flagi. Objaśniono go, że umarł robotniczy poseł do parlamentu Fossion i że z tego powodu sztandary te w żałobie wywieszono. Król zasalutował przed sztandarem a tłum, widząc to, w hucznych okrzykach na cześć króla dał wyraz swej ku niemu sympatyi.

Złożywszy przysięgę w parlamencie, przejechał król ulicami Brukseli, mimo ulewnego deszczu, który popsuł całą uroczystość. Król przemókł do nitki, nie mógł jednak zaniechać zwyczaju tradycyjnego, który każe nowemu monarsze ukazać się na koniu swemu ludowi.

Król Albert ma troje dzieci a mianowicie dwóch synów Leopolda i Karola i córkę Maryę. Najstarszemu synowi ks. Leopoldowi przypadnie następstwo tronu, albowiem konstytucya uznaje dziedzictwo tronu w linii męskiej i to na podstawie pierworodztwa. W razie braku potomka męskiego przysługuje królowi za zgodą 2/3 większości obu Izb ustanowienie następcy tronu. W ten sposób został po tajemniczej śmierci ks. Baldwina mianowany następcą tronu obecny król Albert jako drugi syn ks. Filipa belgijskiego.



Nowy król Belgów: Ks. Karol Teodor i księżniczka Marya, dzieci króla Alberta.

Straszne zderzenie pociągów

Od lat trzydziestu nie notowano w obrębie [illegible] stryackich linii kolejowych tak strasznej katastro[fy] jak zderzenie pociągów na stacyi Uhersko pod Pa[r]dubicami w Czechach, w pierwszy dzień świąt B[oże]go Narodzenia. Linia kolejowa, przy której stacya Uhersko, łączy Pragę z Wiedniem, ruch wię[c] na niej panuje bardzo żywy.

Straszną tę katastrofę spowodowało mylne us[ta]wienie zwrotnicy, skutkiem nieuwagi pełniące[go] służbę na wspomnianej stacyi urzędnika ruchu, Zeiss[a]. Na torze mianowicie, przeznaczonym dla pociąg[u] pospiesznego, który około 10 rano miał przez Uhe[rsko]



[Nowy] król Belgów: Nowy król Albert konno na czele pochodu koronacyjnego.



O ojcowską spuściznę: Bar. Vaughan ze swemi synami Lucyanem i [F]ilipe[m].

...zone ... lewszyst... ...ouścił si...

sko w kierunku do Wiednia przejechać, stał pociąg towarowy. Mimo to urzędnik Zeiss polecił na tarczy sygnałowej ustawił znak „wolna droga“. Na tej podstawie maszynista pociągu pospiesznego wjechał całą siłą pary na przeznaczony tor i dopiero w ostatniej chwili spostrzegł stojący w pobliżu pociąg towarowy. O zatrzymaniu więc pociągu nie



Straszne zderzenie pociągów: Porozbijane wagony pociągu pospiesznego. Na prawo pakunki podróżnych oraz worki z przesyłkami pocztowemi.

było już mowy. Katastrofa była nieunikniona. Natrąpiła też i to w rozmiarach straszliwych. Maszyna pociągu pospiesznego wbiła się formalnie w maszynę pociągu towarowego, tender został zniszczony, cztery pierwsze wagony zostały wyrzucone z szyn i pogruchotane.

Łatwo zrozumieć panikę, jaka ogarnęła podróżnych, którzy życie uratowali. Rozległy się jęki i płacz rannych, mnóstwo osób doznało gwałtownego wstrząsu nerwowego. Podróżni, którzy wyszli cało, starali się wraz z personalem stacyjnym ratować



O ojcowską spuściznę: Wykonawca testamentu króla Leopolda II., br. August Goffinet.

zagrzebanych pod gruzami wagonów, a wnet potem zjawiły się pociągi ratunkowe z Pardubic i z Pragi.

Skutki katastrofy są straszliwe. Szesnaście osób poniosło śmierć na miejscu, dwadzieścia odniosło ciężkie rany a trzydzieści lżejsze. Olbrzymie są też straty materyalne, zarówno z powodu zrujnowania dwu maszyn i kilku wagonów, jak z powodu odszkodowań, które otrzymają ranni i rodziny zabitych. Szkody materyalne dotykają towarzystwo kolei państwowych, gdyż linia ta należała do wspomnianego towarzystwa.

[illegible] obecnie przez władze śledztwo, usta[illegible]kiem winę urzędnika ruchu Zeissa, [illegible]ę niesłycha[illegible]ego zaniedbania służbowego. Prócz niego jest jednak więcej winowajców, a co najmniej moralnych sprawców nieszczęścia. Pierwszym z nich jest osławiony w całem państwie, na liniach państwowych i prywatnych decydujący *szparsystem*, którego dewizą jest oszczędzanie pieniędzy, a przeciążanie obowiązkami i pracą personalu. Dalej stwierdzono winę naczelnika stacyi Uhersko, który opuścił swe stanowisko bez urlopu, pozostawiając cały ciężar pracy i odpowiedzialności w ręku młodego i niedoświadczonego podwładnego. Zarzucają też personalowi pociągu towarowego, iż powinien był ustąpić z toru, wiedząc o zapowiedzianem przybyciu pociągu pospiesznego. Tymczasem personal ten zabawiał się w restauracyi kolejowej. Niewinnym natomiast zupełnie jest personal pociągu pospiesznego, a ten właśnie najdotkliwiej skutkiem katastrofy ucierpiał. Aż pięć bowiem osób z pośród służby zginęło, a kilka odniosło rany.

Straszne sceny rozgrywały się przez cały dzień po katastrofie. Na miejscu wypadku bowiem znalazła się gromada zwyrodniałych rzezimieszków, którzy zamiast pomagać przy akcyi ratunkowej, rabowali rannych a nawet trupy.

Zdjęcia nasze i illustracya tytułowa przedstawiają miejsce katastrofy oraz głównego winowajcę, asystenta kolejowego Zeissa.

Ochrona zabytków przeszłości.

Do niedawna utrzymywało się przekonanie, że pęknięty dzwon nie da się naprawić ani przez lutowanie, ani przez piłowanie, choć bowiem powłoka jego na oko wyda się nieuszkodzoną, nie odzyska już nigdy dawnego głosu. W najnowszych dopiero czasach dowiedziano się o francuskim giserze, panu Chambon w Montargis, który wynalazł sposób naprawiania dzwonów bez przelewania ich na nowo. Naprawił on już kilkaset dzwonów we Francyi i Niemczech.

Kościół Maryacki w Krakowie posiadał pomiędzy innymi dwa pęknięte dzwony, z których większy ma pochodzić z r. 1431. Waży on przeszło 4000 kilogramów, a rozmiary jego wynoszą: wysokość 1·87 m., dolna średnica 1·75 m. Drugi dzwon, znacznie mniejszy, waży tylko 940 klgr. i odznacza się przepiękną ornamentyką. Oba miały znaczne pęknięcia, u większego długość szpary wynosiła prawie metr. Dzięki szczodrobliwości Dyrekcyi Kasy Oszczędności, która uchwaliła 8000 koron na restauracyę dzwonów, udało się sprowadzić do Krakowa p. Chambon. Urządzono dlań pracownię w fabryce Zieleniewskiego. Po dziesięciotygodniowej pracy oddał mistrz wszystkie powierzone mu dzwony w stanie zupełnie zadowalniającym. Metoda, której używa, polega na rozszerzeniu cieńkiej rysy pęknięcia, rozgrzaniu dzwonu do czerwoności i zalaniu szpary roztopionym spiżem, o składzie ściśle 7[illegible]



Oc[illegible]rona zabytk[illegible] [illegible]zeszłości: Windowanie [illegible] wieżę kościoła Maryackiego dzwonu, naprawionego p[illegible]

dnym ze starym stopem. Rzecz, na pozór prosta, wymaga jednak wielkiej dokładności roboty, ostrożności i doświadczenia. Prócz krakowskich, nadesłano nadto sześć dzwonów z prowincyi, między którymi były bardzo cenne zabytki sztuki giserskiej, n. p. dzwon z Czchowa, Podegrodzia, Ruszczy, Jasła i Bochni.

Wszystkie dzwony uzyskały dawny, pełny głos, nowy aliaż stopił się i zlał ze starym w jednolitą masę. Nawet uszkodzone części ornamentów odciśnięto i skopiowano przy naprawie. Zaznaczyć należy, że sama naprawa kosztowała bardzo niewiele, lwią część kosztów pożarło spuszczanie i windowanie do góry dzwonów, w którym to celu musiano budować specyalne, bardzo silne rusztowanie. Pan Chambon wyuczył swego kunsztu majstra giserskiego w fabryce Zieleniewskiego, tak że w danym wypadku będzie on mógł podejmować się naprawy pękniętych dzwonów.

Tajemnicza śmierć.

„Nie wiesz, co cię jutro, a nawet dziś czeka“ — mówią starzy ludzie. I prawda. Człowiek nie jest nigdy pewnym dnia ani godziny. Oto we wsi Mrażnicy, obok Borysławia, zdarzył się wypadek śmierci wójta, który komisya rządowo-lekarska uznała za przypadkowe samobójstwo, a którego tajemnicę w rzeczywistości zabrał nieboszczyk Wasyl Andruszko do grobu.

Wasyl Andruszko wyszedł we wtorek 21 grudnia o godzinie 5-tej rano ze strzelbą, przewieszoną przez ramię, na polowanie. Jak wyszedł, tak i przepadł bez wieści. Cała wieś szukała go niemal codziennie po okolicy. Myślano, że go kto zabił, lub że zabłądził, choć to drugie było mniej prawdopodobne, albowiem okolicę znał doskonale. Dopiero w sobotę dnia 25 grudnia rano koło godziny 9-tej znaleziono trupa pod krzakami, pół godziny drogi od Mraźnicy.

Powód tajemniczej śmierci Andruszki nie został



Tajemnicza śmierć: Komisya sądowo-lekarska przy zwłokach Wasyla Andruszki w Mrażnicy obok Borysławia.

wyjaśniony, a krąży wieść, że najprawdopodobn[...] jacyś złoczyńcy skorzystali ze sposobności, by [...] wójcie wykonać osobistą zemstę.



[...]: Córki króla Leopolda II.: ks. Ludwika Koburska, hr. Stefania Lony[...] i ks. Klement[...]



Straszne zderzenie pociągów: Urzędnik ruchu na st[...] Uhersko, asystent Zeiss.

O ojcowską spuściznę.

Zmarły niedawno król Belgów, L[eo]pold II. zostawił ogromny majątek. Był to [...] niezwykle przedsiębiorczy, rzutk[...]



Straszne zderzenie pociągów: Zrujnowany wagon I. klasy.

kim talentem organizatorskim i kupieckim sprytem, też swego życia postawił sobie wzbogacenie oraz siebie samego.

V środkach niezbyt przebierał. Były one dlań ważnie obojętne. Każda droga, o ile do celu adziła, t. j. o ile mogła mu przysporzyć doów, znajdowała jego aprobatę.

Głównym źródłem i początkiem niejako olbrzyniego późniejszego majątku stało się państwo Kongo. Rozumny król Belgów poznał się odrazu na wartości materyalnej tej kolonii, nie wahał się też zaangażować całego swego majątku w tem przedsiębiorwie. Ryzyko to opłaciło się sowicie. Kongo ny i bogaty w metale, bogaty w faunę drogoną, niósł olbrzymie dochody, z czego lwia część padała przedsiębiorczemu monarsze.

Leopold II. nie ograniczył się atoli na tej jednej ulacyi. Próbował szczęścia i na innych poch, a przedewszystkiem handlował. A handlował szystkiem. Dobrami swemi, pałacami, akcyami, rożytnościami, odziedziczonemi po przodkach, hanwał zabytkami sztuki i literatury, a zawsze z dom zarobkiem. Wyglądało to tak, jakgdyby dla go nie miało nic wartości, prócz gotówki.

Ale to były tylko pozory, gdyż w istocie rze- Leopold II. miał dużo zrozumienia dla sztuk knych i dla literatury a zwłaszcza dla nauki. Poł je też wydatnie i opiekował się niemi żyie. A pozbywanie się drogocennych zabytków i i przetapianie ich w ostatnich latach na brzęcą monetę, inną podobno miało pobudkę.

Tej gotówki potrzebował on dla swej morganatycznej małżonki, baronowej Vaughan i dla swoich z tego drugiego małżeństwa pochodzących dzieci. Małżeństwo to bowiem wobec ustaw belgijskich było nieważne i król Leopold II. wiedział, że o ile za życia swego żony i tych dzieci nie zaopatrzy, to po śmierci nic nie dostaną, a cały majątek ruchomy i nieruchomy przejdzie na dzieci z pierwszego małżeństwa, na jego trzy córki i ich potomstwo.

A tego nie chciał król Belgii, gdyż tylko z niezamężną córką Klementyną utrzymywał stosunki rodzinne, z dwoma starszemi zaś, Ludwiką koburską i hr. Stefanią Lonyay zerwał zupełnie.

Czy jednak wola zmarłego króla zostanie uwzględniona, nie można dziś przewidzieć. Prawowite spadkobierczynie bowiem Leopolda II, jego córki, postanowiły praw swych do majątku ojcowskiego dochodzić z całą bezwzględnością i poczyniły już za pośrednictwem swych zastępców prawnych wszelkie potrzebne w tym celu kroki.

Bardzo ważną a bardzo trudną i zawikłaną kwestyą w całej tej historyi spadkowej jest przedewszystkiem ustalenie wysokości majątku zmarłego króla. Mimo bowiem zamiłowania do gotówki, Leopold II. nie wiele jej składał na własne nazwisko, a także te pieniądze, które angażował w najrozmaitszych przedsiębiorstwach, szły przeważnie bezimiennie. Skutkiem też tego rozmaite bardzo są opinie o majątku zmarłego króla Belgów i gdy jedni szacują go na 160 milionów franków, inni sądzą, że przekracza 500 milionów. Różnica więc bardzo znaczna.

Testamentem swym przekazał król Leopold II. córkom Ludwice, Stefanii i Klementynie tylko 15 milionów, odziedziczonych po ojcu. Wykonawcami



Straszne zderzenie pociągów: Gruzy wagonów obok maszyn.

swej ostatniej woli zamianował baronów Augusta i Konstantego Goffinetów. Wykonawcy testamentu zawiadomili obecnie spadkobierców króla Leopolda, iż zmarły, zawiązując szereg towarzystw akcyjnych i wkładając w nie znaczne sumy, pragnął uratować majątek spadkowy przed wierzycielami córek, zwłaszcza ks. Ludwiki.

Chodziło mu głównie o to, by potomkowie ks. Ludwiki i Filipa koburskiego spadek odziedziczyli. Zmarły król wiedział, iż ks. Filip, choć rozwiedziony ze swą żoną, zgłosi prawa do spadku imieniem dzie pochodzących z małżeństwa z ks. Ludwiką, zw szcza że dwukrotnie płacił grube długi lichwiars swej żony.

Równocześnie okazali wykonawcy testamen pewnego rodzaju komentarz do testamentu, ską wynika, że jeśli ks. Klementyna i hr. Stefania L nyay wspólnie z ks. Filipem koburskim oświadcz się za utrzymaniem owych towarzystw akcyjnych to wierzyciele ks. Ludwiki nie będą mogli wyegzekwować swych lichwiarskich pretensyi a za lat 30 wszyscy spadkobiercy króla Leopolda otrzymają 120 milionów franków.

Prócz córek króla Leopolda, zgłosił obecnie pretensye do spadku ks. Filip koburski imier dzieci oraz hr. Lonyay imieniem swej cór żbiety Windischgraetz, jako wnuków kr skiego.



Straszne zderzenie pociągów: Obie maszyny po katastrofie.

REEN.

...TO MORDERCĄ?

— W takim razie na piętrze, na którem był ...venfort, nikogo więcej nie było?
— Nikogo.
— O której godzin... położył się pan spać?
— Koło jedenaste...
— Czy w tym czasie nie słyszał pan żadnych ...ych szmerów w domu?
— ...e, żadnych — nastąpiła stanowcza odpo-

...ądanie, by opowiedział od samego początku ...o, wśród jakich okoliczności spostrzeżono ...vo jego pana, przedstawił jasno najdrobniej-...zegóły, nie przecząc sobie i nie gubiąc się w ...ajmniejszych faktach.
... ...rzyjęły młode panny wiadomość o tym ... — za...ytał koroner, gdy kamerdyner ... ...e zeznania.
... — natychmiast pobiegły za nami i we-...apy d...oju, w którym spełniono morderstwo. ...norze zrobiło się niedobrze na widok nie-...ży w...

...kie wrażenie wywarło to na drugiej pan-
— ...mu ...wa się, zdaje się, miss Mary?
— ... re... mogę tego powiedzieć gdyż chodziłem po ...ę dl... ...nny Eleonory.
— K... ...y przeniesiono pana Lavenforta do sy-...ni?
— Zar... ...z po ocuceniu pani z omdlenia.
— Kied...yż panna Eleonora przyszła do przyto-...ości?
— Wkrótce potem, jak skropiono jej twarz zi-...ną wodą.
— Kto kazał przenieść nieboszczyka?
— Panna Eleonora; podeszła do zwłok, przy-...em zadrżała całem ciałem i poprosiła pana Her-...la, by przeniósł je razem ze mną i posłał zaraz ...lekarza. Spełniliśmy natychmiast prośbę pani.
— Czy udała się razem z panami do sypialni?
— Nie.
... ... w tym czasie?
... ...biurku.

...yż zwrócona była do

...nie było.

...ył?
...ny mieli

...na

...nim

...zy so-
...eden
...za-
...naj-

...ział
... się
...ny

...nó-
...zie
...bą

...ner

...e

— Nie, jestem pewny tego, nie mylę się.

Widocznem było, iż przysięgłemu spodobała się skromność kamerdynera, który nie czuł się w prawie sądzić o stosunkach panujących między jego państwem. Siadł więc z zadowoloną miną na swem miejscu i dał poznać, iż nie zamierza już o nic więcej pytać.

Wtedy zerwał się ze swego krzesła pierwszy przysięgły i zapytał:

— O której godzinie otworzył pan drzwi w domu?

— Koło szóstej.

— Czy mógł kto potem wyjść z domu bez zwrócenia pańskiej uwagi?

Tomasz wobec tego pytania z widocznym niepokojem spojrzał na resztę służby, lecz zaraz rzekł z pewnością siebie:

— Nie, nie sądzę, by po szóstej godzinie mógł wyjść kto z domu niepostrzeżenie. Nie można przecież podczas dnia wyskakiwać z pierwszego piętra na ulicę — każdy musi iść po schodach. Ponadto główne drzwi zatrzaskują się tak głośno, iż słychać to w całym domu, gdyby zaś chciał kto wyjść bocznemi drzwiami i przez ogród, to musiałby przechodzić koło kuchni, a wtedy zobaczyłaby go kucharka.

Słowa te wywarły na wszystkich obecnych silne wrażenie. Dom był rano zamknięty ze wszystkich stron i nikt potem z niego nie wychodził, mordercy więc należy szukać na miejscu. Przysięgły, zadający ostatnie pytania, obejrzał się dokoła z miną pełną zadowolenia i nie chcąc zapewne psuć ogólnego nastroju, siadł w milczeniu. Ponieważ nikt już więcej nie zdradzał ochoty do dalszych pytań, spytał wtedy kamerdyner, który zaczął już tracić cierpliwość:

— Czy pragnie jeszcze kto z panów pytać się mnie o co?

Gdy nikt się nie odezwał, westchnął z ulgą i pospiesznie skierował się do grona służących, jak gdyby uradowany, że pozbył się wreszcie tego ciężkiego obowiązku. Rzuciło mi się to mimowoli w oczy, nie miałem jednak czasu rozmyślać nad tem, gdyż zaraz zaczęło się badanie mego znajomego sekretarza, który był prawą ręką nieboszczyka.

Hervel wystąpił naprzód z miną człowieka, który zdaje sobie sprawę, iż od jego słów zależy życie lub śmierć innych osób. Zewnętrzny jego spokój i godność, z jaką się zachowywał, zjednały mu uznanie wszystkich i nawet mnie wydał się nie tak antypatycznym, jak poprzednio. Wygląd jego był taki, iż nie przemawiał ani za nim, ani przeciw niemu; była to jedna z tych pospolitych twarzy, jakie spotyka się na każdym kroku. Człowiek ten musiał doznać w swem życiu więcej goryczy, niż radości i częściej patrzeć na ujemne strony życia, niż na dodatnie.

Koroner natychmiast przystąpił do badania.

— Pańskie nazwisko?

— James Trumen Hervel.

— Czem pan się trudni?

— Przez ostatnie osiem miesięcy pełniłem obowiązki prywatnego sekretarza pana Lavenforta.

— Pan zapewne ostatni widział go przy życiu?

Przy tem pytaniu młody człowiek hardo podniósł głowę do góry i rzekł:

— Wcale nie, nie ja! Pan chyba wziął mnie za człowieka, który był jego zabójcą?

Podobne słowa wyglądały raczej na żart i ten sposób traktowania śledztwa, wywołanego tak tragicznym wypadkiem, sprawił jak najgorsze wrażenie; ogólny nastrój zmienił się na niekorzyść badanego. Widać było, że i on to odczuł, mimo to jeszcze wyżej podniósł głowę.

— Chciałem zapytać się — powtórzył koroner oburzony taką odpowiedzią, — czy był pan ostatnim z domowników, którzy widzieli pana Lavenforta, zanim go zabiła niewykryta dotychczas osoba?

Sekretarz skrzyżował ręce na piersiach. Nie mogłem domyślić się, czy ruchem tym chce pokryć wstrząsające nim drżenie, czy też zyskać tylko na czasie, by zebrać swe myśli.

— Nie mogę dać panu stanowczej odpowiedzi — rzekł po chwili z powagą. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa ja ostatni widziałem go przy życiu, chociaż nie mogę tego twierdzić z pewnością, znajdując się zwłaszcza w tak wielkim domu.

Zauważywszy, że obecnych nie zadowoliła jego odpowiedź, dodał:

— Obowiązki me wymagały nieraz, bym przy...ił do niego i dość późnym wieczorem.

— Może nas pan poinformować, na czem wła...egały obowiązki sekretarza — spytał Ko... — czyli inaczej mówiąc, jakie zajęcia powie... pan Lavenfort?

— Dlaczego nie? Panu zapewne wiadomo że nieboszczyk posiadał ogromny majątek, a że cieszył się reputacyą człowieka nadzwyczaj dobrego i uczynnego, przysyłano mu też całe stosy listów i próśb, które ja winienem był odczytywać, a nieraz i odpowiadać na nie. Jego osobista korespondencya była zaznaczana specyalnym znakiem, którym odróżniała się od ogólnej. To jeszcze nie wszystko. Pan Lavenfort prowadził poprzednio handel herbatą, wskutek czego bawił kilkakrotnie w Chinach i bardzo interesował się pytaniem, w jaki sposób możnaby zawiązać bliższe stosunki z tym krajem. Aby ułatwić bliższe poznanie Chin, a zwłaszcza ich ludności i panujących tam zwyczajów, zaczął nawet pisać na ten temat książkę. Moja pomoc w tej pracy ograniczała się tylko do tego, iż codziennie pisałem po trzy godziny pod jego dyktandem. Na ostatnią godzinę przychodziłem późno wieczorem między dziewiątą a jedenastą. Pan Lavenfort był bardzo punktualny i lubił we wszystkim dokładność.

— Mówi pan, że pisał co wieczór pod jego dyktandem. W takim razie i wczoraj również?

— Tak, jak zawsze.

— Co pan może nam powiedzieć o tem, jak się Lavenfort czuł? Czy nie zauważył pan, by był czemś wzruszony lub zaniepokojony?

Sekretarz zmarszczył lekko brwi i odpowiedział z namysłem:

— Ponieważ, o ile można sądzić, nie miał najmniejszego pojęcia o tem, iż śmierć jego jest tak bliska — to dlaczego miałby się wzruszać lub niepokoić?

Koroner, niezadowolony z tonu, w jakim świadek składał zeznania, skorzystał ze sposobności i zwrócił mu ostrą uwagę:

— Pański obowiązek odpowiadać na pytania, a nie zadawać je!

— Bardzo dobrze. W takim razie muszę powiedzieć, że jeżeli pan Lavenfort przeczuwał nawet swój bliski koniec, to nic mi o tem nie wspominał, a nawet więcej niż kiedykolwiek zdawał się być przejętym swoją pracą. Ostatnie jego słowa, zwrócone do mnie, były następujące: „Jeszcze przed upływem miesiąca książkę tę będzie można oddać do druku, prawda James?" Pamiętam je doskonale, gdyż właśnie w tej chwili nalewał sobie wino; zwykle przed udaniem się na spoczynek wypijał kieliszek wina. Miałem już wychodzić i oparłem rękę na klamce, zatrzymałem się jednak i rzekłem: — Z wszelką pewnością. — „Wobec tego napijmy się na pomyślność tej książki", — dodał i nalał i mnie kieliszek. Ja wypiłem odrazu, pan Lavenfort tylko połowę kieliszka. Gdyśmy go rano zastali nieżywego, kieliszek stał jeszcze na biurku.

Widocznem było, iż opowiadanie o ostatnich chwilach, spędzonych razem z nieboszczykiem, bardzo wzruszyło sekretarza: wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią pot z czoła.

— Na pożegnanie — mówił on dalej — życzyłem panu Lavenfort spokojnej nocy i wyszedłem z pokoju.

Koroner pozostał obojętnym na wzrus... sekretarza; popatrzył na niego uważnie i zapytał:

— A dokąd pan udał się potem?

— Do swego pokoju.

— Po drodze nikogo pan nie spotkał?

— Nikogo.

— Nie zauważył pan i nie słyszał nic szczególnego?

Głos sekretarza zdawało się iż drgnął, gdy odpowiadał:

— Nie... nic...

— Niech pan zastanowi się jeszcze, panie Hervel, czy może pan z czystem sumieniem potwierdzić, iż istotnie nikogo pan nie spotkał i nic nie zauważył?

Na twarzy świadka malował się przestrach: dwa razy otwierał usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, oba jednak razy nie wydał z siebie ani jednego słowa. Wreszcie rzekł z widocznym wysiłkiem:

— Rzeczywiście, spostrzegłem coś, była to jednak taka drobnostka, iż nie chciałbym nawet wspominać o niej: wobec pańskiego nalegania przypomniało mi się to teraz.

— Cóż to więc było?

— Jedne drzwi były niedomknięte.

— W czyim pokoju?

— Miss Eleonory Lavenfort. — Głos młodego człowieka stał się tak cichym, iż ledwie go można było dosłyszeć.

— Gdzie się p... ...am wtedy znajdowałeś, gdy to z... ...łyłeś?

... dać panu na to ścisłej odpowiedzi; z... ...własnych drzwi, gdyż nie pa-... ...ywał się po drodze. Gdyby nie

to straszne nieszczęście, nie wspomniałbym nawet o takiej drobnostce.

— Zamknął pan za sobą drzwi po wejściu do swego pokoju?

— Ma się rozumieć.

— Kiedy pan położył się spać?

— Zaraz.

— Nic pan nie słyszał przed zaśnięciem?

Znowu zmieszał się trochę, poczem odrzekł stanowczo:

— Absolutnie nic.

— Nie słyszał pan żadnych kroków na korytarzu?

— To możliwe.

— Lecz czy może pan z wszelką pewnością twierdzić, iż słyszał pan kroki?

— Twierdzić tego nie mogę.

— Ale tak się panu zdawało?

— Owszem, to prawdopodobne; przypominam sobie teraz, iż przed zaśnięciem zdawało mi się, że słyszę szelest ubrania i kroki, nie zwóciło to jednak mej uwagi i wkrótce usnąłem.

— I nic więcej?

— Trochę później obudziłem się nagle, jakby mnie coś przestraszyło, lecz co to było, nie potrafię tego określić. Pamiętam tylko, iż podniosłem się na łóżku i rozejrzałem się dokoła. Ponieważ jednak nic nie widziałem i nic nie słyszałem, położyłem się więc znowu i obudziłem dopiero dzisiaj rano.

W dalszym ciągu potwierdził on tylko zeznanie kamerdynera; Króoner zapytał go, czy nie zauważył czegoś specyalnego na stole nieboszczyka po przeniesieniu zwłok do sypialni.

— Na biurku leżały zwykłe przedmioty — odpowiedział: — Książki, papier, pióro, butelka i kieliszek, z którego wieczorem pił pan Lavenfort.

— A oprócz tego nic więcej nie było?

— Zdaje się, że nic.

— Wspomniał pan o kieliszku — wmieszał się jeden z przysięgłych — iż stał on tak, jak go postawił przy panu pan Lavenfort?

— Tak, zupełnie taksamo!

— Lecz przecież on wypijał zawsze cały kieliszek?

— Tak.

— W takim razie po pańskiem wyjściu ktoś mu przeszkodził dopić do końca?

Młody człowiek zadrżał i pobladł, jak gdyby przyszła mu do głowy jaka straszna myśl.

— To nic nie znaczy — rzekł, z trudem wymawiając słowa — pan Lav... mógł... — nie dokończył swe go ... i zamilkł.

— Proszę, niech pan mówi, panie Herwel i skończy to, co pan zaczął — zwrócił uwagę Koroner.

— Nie mam już nic do powiedzenia — odpowiedział sekretarz, starając się opanować swe wzruszenie.

Prawie wszyscy obecni spojrzeli po sobie znacząco: wszystkim wydało się, iż w tem milczeniu sekretarza znajduje się klucz do zagadki. Koroner nie zwrócił jednak na to uwagi i pytał dalej:

— Nie zauważył pan przypadkiem, czy klucz od biblioteki był na swojem miejscu, gdy pan wychodził stamtąd wieczorem?

— Nie pomyślałem nawet o tem.

— Jest pan jednak zdania, iż on był tam?

— Tak, to zupełnie prawdopodobne.

— Lecz dzisiaj rano drzwi zastano zamknięte, klucz zginął.

— Tak, to prawda.

— Wypływa z tego, że ten, kto dokonał zabójstwa, ...nął za sobą drzwi i zabrał klucz.

li te... istotnie okazuje.

— ...wczo popatrzył na świadka; w chwizynki nieboszcz... niski przysięgły i odezwał się: czy tak było rzecz... wyważeniu drzwi obie ku-

— Tylko jedna z nich za panem do biblioteki; onora.

— I ona jest właśnie m... szła z nami, miss Eleonią nieboszczyka?

— Nie, spadk... bierczynią jes... spadk... zy-

— Ja również chciałbym zadać

panu Hervelowi — rzekł jeden z przysięgłych, który dotychczas milczał. — Bardzo szczegółowo nam opisano, jak i w jakiem położeniu znaleziono zamordowanego, lecz przecież żadne przestępstwo nie spełnia się bez wyraźnego celu.

— Może pan sekretarz wie, czy nieboszczyk nie miał jakiego ukrytego wroga?

— Nic o tem nie umiem powiedzieć.

— Czy ze wszystkimi w domu był w dobrych stosunkach?

— Tego nie mogę twierdzić stanowczo — rzekł niepewnym głosem. — Bardzo możliwe, że były nieporozumienia.

— Między kim?

W pokoju zapanowało głuche milczenie; wreszcie sekretarz wymówił:

— Między panem Lavenfort a jedną z jego kuzynek.

— Którą mianowicie?

— Miss Eleonorą.

— Czy może pan powiedzieć, z jakich powodów one wynikały?



Pan może wziął mnie za człowieka, który był jego zabójcą?

— Nie, nie mogę.

— Lecz pan przecież otwierał listy pana Lavenforta?

— Owszem.

— Może pan sobie przypomni, czy w listach, otrzymywanych w ostatnich czasach nie było jakich wskazówek, które mogłyby wyjaśnić tę ciemną sprawę?

Na to pytanie sekretarz absolutnie nie chciał, albo nie mógł odpowiedzieć; milczał jak zakamieniały.

— Panie Hervel — odezwał się Koroner — czy pan nie słyszał pytania pana przysięgłego?

— Owszem i namyślam się właśnie nad odpowiedzią; o ile pamiętam, w żadnym liście nie zauważyłem nic takiego, coby mogło odnosić się do tego wypadku.

Mówiąc to, sekretarz prawdopodobnie kłamał; widziałem, jak palce jego lewej ręki drżały nerwowo, potem zacisnęły się w kułak, jakgdyby powziął jakieś ostateczne postanowienie.

— Bardzo możliwe, że wszystko jest t... pan mówi — rzekł Koroner — na wszelk... wypadek cała korespondencya nieboszczyka ... przejrzana.

— Jest to zupełnie naturalne — spok... powiedział Herwel.

Na tem zakończyło się dnia tego badan... vela. Gdy siadł na swem miejscu, z zezna... wyprowadziłem cztery wnioski: Hervel opie... się na danych, sobie tylko znanych, podejrzewał ... goś, lecz sam przed sobą nie chciał przyznać si... swych podejrzeń; do sprawy tej wmieszan... jakaś kobieta, jak tego można było domyś... z szelestu sukni na korytarzu; na krótko p... bójstwem pana domu otrzymał on jakiś list... szący się do tego wypadku i wreszcie za ... razem, gdy sekretarz musiał wspomnieć o ... Lavenfort, głos jego lekko drżał.

IV.

Nowi świadkowie.

Teraz przyszła kolej na kucharkę, otyłą, ... wną kobietę o czerwonej, dobrodusznej twarzy ... pospiesznie wystąpiła naprzód, na twarzy jej ... wał się taki przestrach, mie... z ciekawością, iż obecni nie... wstrzymać się od uśmiechu ... tak komicznej osoby.

— Pani nazwisko? — ... roner.

— Katarzyna Melon.

— Jak dawno pani sł... domu?

— Prawie już rok te... jak zgodziłam się tutaj z... dacyą mistera Willsona i...

— Dlaczego pani odesz...d sonów?

— Wyjechali znowu ... Irl... i dlatego...

— A więc przebyła pani u ... boszczyka niespełna rok?

— Tak.

— I była pani zadowolona z ... miejsca? Pan Lavenfort dobrze ob... dził się z panią?

— Nigdy w życiu nie widziałam lepszego pana od niego. I trzeba było, żeby jakiś przeklęty łotr go zabił. Był zawsze taki dobry i miły i ... raz mówiłam do D...en nagle ... przestras... resztę ... kieś wi...

pokoj...

nic

tut

rej zac...

tu m

Po 50 latach wygnania.

(Do illustracyi na str. 4).

W kościele OO. Franciszkanów w Warszawie był się w czasie ubiegłych świąt obchód jubileuszowy 50-letniego kapłaństwa O. Juwenalisa, kapucyna.

O. Juwenalis urodził się w roku 1833, święcenia zaś kapłańskie otrzymał w r. 1859. W parę lat potem O. Juwenalis zesłany został do gubernii Archangielskiej, gdzie do ostatnich dni przebywał, ciesząc się gorącą miłością wśród tamtejszych Polaków.

Obecnie uzyskawszy pozwolenie powrotu — na resztę życia zamieszkał między swymi.

Poseł łapownik.

(Do illustracyi na str. 4).

Poseł do Dumy, wybrany przez ludność rosyjską Warszawy, Aleksiejew, nie może się obecnie skarżyć na brak popularności. Piszą o nim wszyscy i mówią wszyscy. Poseł Aleksiejew w ciągu jednego dnia stał się „głośnym", a to dzięki generałowi Nikiforowowi, który uchylił zasłony ze spraw którymi pan poseł urozmaica sobie nudny pobyt w Petersburgu.

Oto w warszawskiem piśmie rosyjskiem *Warszawskoje Utro* ukazał się list dymisyonowanego generał-majora Nikiforowa, który rzuca na Aleksiejewa bardzo charakterystyczne i ciekawe światło. P. Aleksiejew — jak się okazuje — umiał robić interesy na swym mandacie poselskim, co więcej, umiał naciągać na tysiączki tych, którzy mogli o-deń potrzebować pomocy.

Generał Nikiforow jest wynalazcą nowego systemu furgonu wojskowego, który to system został zaprowadzony w całej armii rosyjskiej. Wynalazek ten kupiło od generała Nikiforowa ministerstwo wojny, zobowiązując się zapłacić wynalazcy po 5 rubli od furgonu, czyli łącznie 5 milionów za 400.000 furgonów. Tymczasem generał Nikiforow otrzymał zaledwie 50.000 rubli na konto swej należytości. Jeszcze za panowania cesarza Aleksandra III. prosił generał Nikiforow o zwrot należnej mu sumy, [illegible] sam [illegible] furgony wydał — jak twierdzi — 120 tysięcy rubli.

Ponieważ sprawa ani na krok nie postępowała naprzód, generał Nikiforow zwrócił się do posła Aleksiejewa z prośbą o ujęcie tej sprawy w swe ręce i na koszta wręczył mu ryczałtowo 600 rubli, ponadto przyrzekł mu wypłacić 10.000 rubli, jeżeli przy jego pomocy uzyska należną od ministerstwa wojny kwotę.

Aleksiejew z początku interesował się powierzoną mu sprawą, później jednakowoż zaprzestał wszelkich zachodów. Mimo to zatrzymał notaryalnie wystawiony kwit na 10.000 rubli.

Generał Nikiforow widząc, że poseł Aleksiejew powierzonej mu sprawy nie przeprowadza, zażądał zwrotu powierzonych Aleksiejewowi dokumentów. Żądane papiery zostały generałowi zwrócone, brakło jednak najważniejszego, mianowicie kwitu na 10.000 rb. Niemając innych środków do dyspozycyi, generał Nikiforow udał się na drogę publicznej opinii, aby o sprawkach pana posła poinformować jego warszawskich wyborców.

Nie ulega wątpliwości, że afera ta będzie grobem politycznych występów niedoszłego hochstaplera na gruncie warszawskim, Aleksiejewa.

Choroba wielkiego poety.

Znakomity poeta i dramaturg norweski Björnson-Björnstjerne, zapada coraz bardziej na zdrowiu. Tak wytężająca praca literacka jak i publicystyczna odbiły się na starość na zdrowiu wielkiego Norwega.



Choroba wielkiego poety: Björnstjerne-Björnson z żoną i synem.

Zresztą sam wiek — Björnson liczy obecnie 78 lat — ma swoje prawa.

Przewieziony do Paryża, oddanym został opiece specyalistów, którzy wysilają się, by wielkiemu poecie przedłużyć życie. Na razie niebezpieczeństwo katastrofy minęło, nie ulega wątpliwości jednak, że kryzy może nadejść niespodziewanie lada dzień, a prasa europejska podaje co dnia biuletyny o zdrowiu wielkiego pisarza, ze względu na spodziewany lada chwilę zgon.

Rycina nasza przedstawia sędziwego poetę jako rekonwalescenta w towarzystwie żony i syna w jego prywatnem mieszkaniu w Paryżu.



Zjazdy rodzinne: Grupa uczestników zjazdu, członków rodziny Chełmickich, z ks. prałatem Zygmuntem Chełmickim w pośrodku. (Fot. t. Boacki, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

(Pierwszy rok istnienia Wielkiego Krakowa. — Jak nas Barbara wykiwała. — Przepowiednie Flammariona i pani de Thèbes. — Orzeczenie naszych meteorologów. — Możliwość końca świata i jego znaki. — Co słychać w parlamencie? — Izba panów się rusza. — Sprawy naszego kolejnictwa z okazyi ostatnich katastrof. — Kto winowajcą? — Zakończenie wojny o panoramę. — Nowa tragikomedya. — Ach, dlaczegóż nie jestem poetą?!)

Bieżący rok 1910 jest właściwie pierwszym rokiem istnienia Wielkiego Krakowa. Odnośna uchwała sejmu galicyjskiego uzyskała już sankcyę cesarską, oddano też prezydentowi miasta dozór nad majątkiem przyłączonych gmin, faktyczne zaś wcielenie ich zapowiedziane jest dopiero na pierwszego kwietnia. Ponieważ jest to termin bardzo niepewny, gdyż wówczas bawią się wszyscy w tak zwanego zwodziciela, boję się, by przypadkiem i ta sprawa nie poszła znów w odwłokę.

Ze jest to uzasadniona obawa, o tem nie trzeba nawet mówić, na każdym bowiem kroku przekonujemy się, iż jesteśmy igraszką kapryśnego losu. Wierząc w prawdomówność niewieściego rodu, cieszyliśmy się już od dawna, że będziemy mieć piękne święta Bożego Narodzenia, gdyż stare przysłowie powiada, jeśli Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie i odwrotnie. Na Barbarę mieliśmy deszcz i błoto, należało się więc spodziewać, że Boże Narodzenie będzie mroźne, z sanną i ślizgawką. Tymczasem zawiodła nas Barbara, w Boże Narodzenie można było pływać po ulicach. I wierz tu teraz niewiastom śmiertelnym, skoro nawet na święte liczyć nie można.

Wogóle tegoroczna aura pozostawia bardzo wiele do życzenia. Właściwie nie mieliśmy dotąd zimy, kilkudniowe bowiem mroziki i lekki śnieżek uważać należy raczej za nieudatne próby, a nie za objawy tej najsroższej z pór roku. Żałują też wszyscy, którzy pospieszyli się zanadto z wykupnem futer z zakładów zastawniczych, widzą bowiem, że wyrzucili niepotrzebnie pieniądze, boją się zaś zanieść je tam z powrotem, gdyż codziennie można się spodziewać obniżenia się temperatury. Słyszałem nawet wynurzenia jednego z naszych domorosłych meteorologów, że w roku 1910 spodziewać się należy największych mrozów na Wielkanoc, a w Zielone Święta zrobimy sobie wycieczkę sankami na Bielany. W czasach tak pełnych niespodzianek, jak obecne, wierzę święcie w przepowiednie owego krajowego Falba i choćby termometr wskazywał trzydzieści stopni powyżej zera, nie uwierzę, że mamy już lato i do trzydziestego lipca nie zdejmę futra, chyba, że mi je z pleców ściągnie egzekutor za zaległe podatki. Zastrzegam się jednak, że uczynię to tylko w tym wypadku, jeśli nie odwiedzi nas kometa, zapowiedziany na 18 maja przez wielkiego Flammariona.

Wierzyć także nie można przepowiedniom pani de Thèbes na r. 1910, który wedle jej astralnej rachuby zaczyna się około dwudziestego marca. Ma on, wedle jej proroctwa, zostawać pod panowaniem słońca (dzięki Bogu, że dotąd futra nie wykupiłem z zastawu!) i być przeważnie rokiem spokojnym, choć tu i ówdzie mają się ludzie spodziewać niespodzianek. Stoi to w zupełnej sprzeczności z oświadczeniem Flammariona w sprawie wizyty Halleyowskiej komety i teraz nie wiem komu wierzyć, jej, czy jemu. Nie myślę się zaś wcale angażować i oświadczać stanowczo ani za nią, ani za nim, abym na tem nie wyszedł tak, jak wielcy uczeni Europy i Ameryki, którzy wielbili wielkiego odkrywcę, Dra Cooka, dopóki się nie przekonali, że jest on najzwyklejszym blagierem, którego nawet Eskimosi zdemaskowali.

Ten koniec świata przeraża mnie nie na żarty, a sądzę, że nie tylko mnie, ale i lwią część współmieszkańców naszego planety, którzy ani myślą o tem, aby w kwietnie wieku schodzić z tego padołu płaczu i podatków. Wszystko tak się składa, że należy przypuszczać, iż przecież Flammarion miał racyę. Powiadają wprawdzie różni niedowiarkowie, że jeśli koń, który ma cztery nogi, czasem się potknie, a nawet przewróci, dlaczegóżby więc i astronom nie miał się pomylić, zwłaszcza, że o jego nieomylności żadna religia nie uczy, ja sądzę, że przemawia przez nich właśnie obawa owego końca świata i starają się tylko nadrobić dobrą miną. Wiemy przecież z katechizmu, że koniec świata kiedyś będzie, niewiadomo tylko, kiedy. Mają go poprzedzić różne nadprzyrodzone znaki, a za takie możemy łatwo uznać tegoroczną pogodę, krótki karnawał, odkrycie bieguna północnego i południowego, zdemaskowanie Cooka, uruchomienie austryackiego parlamentu, a głównie ostatni rok istnienia naszej świętej propinacyi, bez której nie możemy sobie ani wyobrazić naszej kochanej Galicyi, a tem mniej już wyborów. Są jeszcze inne nie mniej niezawodne znaki, nie jestem jednak astronomem z zawodu, ani kronika nie jest naukowym traktatem, aby je tu poruszać, zwłaszcza, że wysokie władze zabroniły rozszerzania alarmujących wieści o końcu świata z obawy, aby nie wpłynęło to ujemnie na ochotę w płaceniu podatków. Bo i pocóż płacić podatki, jeśli, zanim przyjdzie egzekucya, nastanie tymczasem koniec świata? Uwierzyła także w koniec świata i pani Borowska, prosząc o odroczenie zapowiedzianej na 12 stycznia rozprawy o zamordowanie adwokata Lewickiego, jeśli bowiem ma nas kometa zmieść z powierzni ziemi, to obejdzie się i bez jej procesu, który w każdym razie nie może być dla niej przyjemny, choćby nawet spodziewała się uwolnienia.

Nie traćmy jednak fantazyi, i choć skóra cierpnie ze strachu, a dusza, jak to powiadają poeci, siedzi na ramieniu, nadrabiajmy przynajmniej miną i pocieszajmy się nadzieją, że ani Flammarion, ani pani de Thèbes, ani wspomniany wyżej domorosły Falb, nie mają racyi. Jeśli bowiem rok 1910, ma być ostatnim naszego istnienia, nic nie pomoże, choćbyśmy mieli i morze łez wylać, jeśli zaś Flammarion się pomylił, czyż nie szkoda przez kilka miesięcy dręczyć się niepotrzebnie? Prawdziwie męska i rycerska fantazya, jaką powinniśmy odziedziczyć po naszych przodkach, osłodzić nam może ostatnie chwile i nie ściągnie na nas zarzutu, że jesteśmy małodusznymi Pigmejami, których przeraża lada drobnostka.

Czas jednak porzucić przypuszczenia, które nam krew psują, a zająć się rzeczywistością, która przecież obfituje w doniosłe wypadki.

Od czasu radykalnej kuracyi, jakiej poddano austryacki parlament, o Izbie poselskiej prawie nie słyszymy, posłowie radzą, uchwalają ustawy i nie kłócą się wcale, a sprawozdania z obrad są tak jałowe i monotonne, jak artykuły wstępne naszych dzienników. O kłótniach. bójkach i koncertach parlamentarnych istnieje już tylko tradycya, wobec nowego regulaminu. Panowie: Iro, Schönerer, Wolf, Trylowski, Budzynowski *et tutti quanti* stracili już swe pierwotne znaczenie, także i sławni *Dauerrednerzy*, którzy tak wsławili się w ostatnich czasach. Ludność krajów koronnych patrzy natomiast z zadowoleniem w stronę Wiednia, widząc, że jej zastępcy nie biorą już zadarmo pieniędzy, ale zaczynają wydatną pracę dla dobra ludu. Oby to jednak długo trwało! Swoją drogą przyznać trzeba, że naszym zastępcom w parlamencie wiedeńskim jakoś jest nie do twarzy w roli poważnych pracowników dla dobra ludu ich pieczy powierzonego.

Ale nie tylko Izba poselska pracuje gorączkowo, także i Izba Panów bierze się nie na żarty do pracy i zaczyna się coraz bardziej interesować potrzebami różnych krajów koronnych. Wydaje nam się to nieco dziwnem, przyzwyczailiśmy się bowiem uważać Izbę wyższą za rodzaj magazynu, w którym się gromadzą różne leciwe znakomitości. Obrady toczyły się tam zazwyczaj w ten sposób, że referent prowadził swój wykład, a zebrani spoczywali w objęciach Morfeusza. Dobry przykład widocznie działa, za Izbą posłów zabrali się i „panowie" do intenzywnej pracy.

Wypadałoby sobie życzyć, aby sfery miarodajne zajęły się między innemi i sprawami naszych kolei żelaznych, ale w odmienny nieco sposób, jak dotąd. Przedsiębiorstwo to przynosi rządowi tak znakomite dochody, iż zasługuje także i na gorliwe zajęcie się jego potrzebami i niedomaganiami. Dotąd słyszeliśmy o kolejach tylko z okazyi podwyższania cen biletów i frachtów, lub też katastrof, które mnożą się, jak grzyby po deszczu. Służba kolejowa, szczególnie w niższych i najniższych stopniach hierarchii urzędniczej, jest nader wytężająca i stosunkowo źle wynagradzana. Utarło się już zdanie, że każdy kolejarz w czasie swego urzędowania „jest jedną nogą w kryminale, a drugą w szpitalu", czeka go bowiem albo śmierć lub kalectwo, lub też odpowiedzialność sądowa. Osławiony „*szparsystem*" jest tą bolączką, która trapi nasze kolejnictwo i nie da się absolutnie usunąć, gdyż najwyższe sfery wywają ciągle do *Schonung an Material*. Jaka z tego korzyść, widzi każdy nieuprzedzony... Oszczędza się dziesiątki, a może nawet i tysiące koron, wydaje się zaś miliony na pokrycie szkód, powstałych skutkiem katastrof, które znowu przypisuje się zawsze owej: *vis major*. Skoro więc ma się korzyść z przedsiębiorstwa, nawet pomimo tych nadzwyczajnych wypadków, czyż nie należałoby się zająć radykalną reformą tych stosunków, by, co złe, poprawić, co zaś do poprawy się nie nadaje, wyrzucić? Skorzystaliby z tego i kolejarze, a co najważniejsza całe podr
żujące społeczeństwo, które dziś, siadając zmuszon
okolicznościami do wagonu kolejowego, nie jest pe
wnem, czy opuści go w zdrowiu, czy też uzysk
palmę męczeńską.

Niedawne katastrofy w Trzebini i Bierzanowi
a ostatnia pod Pardubicami, wykazały dowodnie, ż
administracya kolei nie stoi na tej wysokości, n
jakiej powinna się znajdować w dwudziestem stule
ciu, ale wymaga radykalnej reorganizacyi. Klasy
cznym przykładem tych stosunków jest ó
Zeiss, który miał spowodować katastrofę
bicach, człowiek nerwowo chory, a jedna
orzeczeń lekarskich, zatrzymany w tak od
nej służbie, jak ruchowa. Winy on absc
ponosi, przyjąć ją muszą na siebie ci,
uwzględnili jego prośby o przeniesienie do
mniej natężającego działu. Spełnia się jednak i
niemieckie przysłowie: *Kleine Diebe hän*
auf, grosse lässt man laufen!

Na zakończenie tygodniowej kroniki
wspomnieć o rozwiązaniu przesilenia barbakanowego
w Krakowie w myśl żądań większej części
a wbrew opinii konserwatorów i archeologów
ło się to, co przepowiedziałem wieszczym duchem
natchniony z okazyi pomnika Grunwaldzkieg. Nas
najlojalniejsi kierownicy polityki miejscowe
nowili utrącić panoramę, aby się nie narazić przy
jaźnionemu sąsiadowi. Miał przyjść podobno *Wink*
von oben, aby nie wpuścić panoramy do barbakanu
a może się Styka obrazi i odstąpi od projektu. Gdy
się o tem dowiedziano, zakotłowało w sferach ra
dzieckich, które miały ostatecznie rozstrzygnąć —
dać barbakan, czy nie. Grono zdrowo myślących o
bywateli postanowiło postawić na swojem i
zwolić obcym na mieszanie się w nasze wewn
sprawy. Ale i przeciwnicy panoramy nie po
w tyle, lecz stanęli do bratobójczej walki, uzbr
w przekonywujące argumenty. Posiedzenie
miejskiej w przeddzień Sylwestra miało być pl
boju, na którym starły się ze sobą wrogie zast
Mniej odważni zostali w domu.

Wygłoszono szereg płomiennych mów, które li
czyć można było na tuziny, podawano różne pro
jekty, byle sprawę odwlec... nie pomogły jed
wysiłki i wybiegi przeciwników, panoramiści w imien
nem głosowaniu zwyciężyli, uchwalając oddać Sty
ce Rondel na trzy lata, z zastrzeżeniem jednak, że
mury nie będą uszkodzone.

Jest to pierwszy akt tragikomedyi, jaka się rozegra z powodu jubileuszu grunwaldzkiego, przypadającego na rok bieżący. Cieszmy się nadzieją, że ta sama historya powtórzy się i z pomnikiem, ofiarowanym miastu przez Paderewskiego, który ze względów wyższej polityki złoży się *ad acta* w Muzeum, a wreszcie, jako epilog, dowiemy się, że z powodu dżumy, grasującej w Chinach lub cholery, panującej w Kalkucie, na życzenie ambasadora niemieckiego, bojącego się zawleczenia zarazy, odłoży się uroczystości jubileuszowe do następnej rocznicy, która przypadnie akurat za lat sto!

Mam wielką pretensyę do Opatrzności, iż nie obdarzyła mnie geniuszem poetycznym, popełniłbym bowiem na tem tle epopeę, którаby zapędziła w kozi róg nieboszczyka Homera, a stanowiła po wieczne czasy spiżowy pomnik baraniej uległości niektórych naszych osobników!

X



„Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego: Dyrektor L. Solski jako Fryderyk II. — w szlafroku.



„Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego: P. Wysocka (generałowa Skórzewska) z pp. Janiczówną i Jarszewską (córki bankiera Gockowsky'ego).

„Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego.

Literatura dramatyczna pozyskała nowe, niepospolite dzieło sceniczne, jedno z tych, których pojawienie się stanowi wypadek dnia, sensacyę literacką. Dziełem tem jest „Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego, nazwany przez autora powieścią dramatyczną. W tytule „powieść dramatyczna“ usprawiedliwia autor rozmiary pracy — w wydaniu książkowem liczy to dzieło 352 stron druku — usprawiedliwia pomięszanie zasadniczych konfliktów dramatycznych z ustępami epicznymi czy powieściowymi. Mimo to „Wielki Fryderyk“ w swych zasadniczych rysach jest dziełem scenicznem, dzięki temu, że wprowa-



40-letni jubileusz amatorskiej sceny: Byli i obecni członkowie amatorskiego Kółka „Gwiazda“ we Lwowie. Fot. M. Münz, Lwów.

dzono weń szereg bardzo charakterystycznych postaci, postaci znakomicie nakreślonych, że między postaciami temi przychodzi do konfliktów prawdziwie dramatycznych.

Przy inscenizacyi „Wielkiego Fryderyka“ teatr krakowski podkreślił i wydobył właśnie te sceniczne pierwiastki sztuki Nowaczyńskiego, skreślając ustępy opisowe, ważne dla szczegółowej charakterystyki osób i tła historycznego, ale stanowiące zbyteczny balast przy wystawianiu sztuki na scenie. Ofiarą ołówka reżysera padły dwie trzecie książki.

To, co pozostało, stanowi jednak bardzo jeszcze obszerny epizod z życia Fryderyka Wielkiego w jego rezydencyi Sans-souci pod Berlinem, pozwalający ocenić charakter tego satrapy i stosunek jego do poddanych, do urzędników, do Polski, pozwalający ocenić jego zapatrywania na politykę i na etykę. Postać jego charakteryzuje też stosunek do bankiera Gockowskiego, zasłużonego wobec Prus, ale wówczas już nieużytecznego, którego też bez skrupułów rujnuje materyalnie i moralnie, odmawiając zezwolenia dwóm oficerom gwardyi na poślubienie córek Gockowskiego. Doprowadza tem do zamachu sam bójczego jednej córki a samobójstwa narzeczoneg drugiej.



„Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego: Powitanie cesarza w salonie ks. biskupa Krasickiego.

W akcyę tę wpleciony jest cały szereg posta charakterystycznych. Dużą np. rolę odgrywa w Sans souci książę biskup warmiński Krasicki, okazując się tam ultralojalnym dworakiem. Ówczesne damy ich maniery i sposób myślenia reprezentuje genera łowa Skórzewska. Z pośród innych typów, symp tycznie przedstawia się „król huzarów“, generał v Zieten oraz generał-adjutant cesarza, Bischofswe der. Postacie ministrów pruskich Hertzberga i Bi marcka, dalej adjutanta przybocznego Rohdicha ora szambelana i lektora Luchheziniego, zręcznego dw raka, nakreślone są z życiem i wyrazistością.

Wystawienie „Wielkiego Fryderyka“ stano prawdziwą chlubę reżyseryi i dyrekcyi teatru kr kowskiego. Wykonanie zaś roli tytułowej przez dy rektora Solskiego zadecydowało o powodzeniu sztuk

Najnowsza ta kreacya p. Solskiego jest arcydzi łem sztuki aktorskiej i w galeryi typów, stworz nych przez tego niepospolitego artystę, zajmuje bo daj czy nie naczelne miejsce. Pomijając świetn nadzwyczaj staranną i wierną charakteryzacyę, w cze dyr. Solski zawsze celuje, dał on postać drgając życiem i prawdą. Wyraz twarzy, każdy ruch, każd giest, ton mowy — wszystko złożyło się na post wprost porywającą. Mamy przed sobą żywego Fry satrapę, tyrana w najgorszem tego słowa znaczeni okrutnika bez serca, człowieka zdolnego do fałsze stwa i gwałtów, tam gdzie nawet pozorami słuszn ści do celu dojść nie można. Wszystkie moment ważne dla charakterystyki tej niepospolitej bądź c bądź postaci, podkreślił dyr. Solski w sposób zn komity, bez cienia szarży.

Bardzo wysoko stanął p. Siemaszko, jako wy konawca roli generała Ziethena. Dał postać szlach tnego huzara, obcego intrygom i niskim instynkt i oburzającego się nimi szczerze. Dramatyczne mo menty roli wyzyskał p. Siemaszko bardzo udatni Także p. Sobiesław, jako książę biskup warmińsk Krasicki, wywiązał się z trudnego zadania bez za rzutu. Był dystyngowany, wytworny i tą wytwor nością odbijał od szorstkiego Fryderyka, był lojalnie uniżony wobec cesarza, zgodnie z intencyami autora i zgodnie z prawdą historyczną. Rola generałowej Skórzewskiej nie dała p. Wysockiej dużego pola do popisu, jako rola epizodyczna. Bardzo miłemi, sym-



„Wielki Fryderyk“ Nowaczyńskiego: Finał szóstego i ostatniego aktu. Scena po samobójstwie Tadeusza Krasickiego w gabinecie cesarza.

patycznemi córkami Gockowskiego były pp. Jarszewska i Janiczówna, a ich narzeczonymi pp. Jerzy Leszczyński i Kosiński. Nie można też pominąć bez wzmianki pp. M. i J. Węgrzynów, Szymborskiego, Stępowskiego, Mielnickiego, Sosnowskiego, Stanisławskiego, z których każdy oddał swą drobną rolę z wielką starannością.

Dzieło Nowaczyńskiego ma zapewnione powodzenie na szereg przedstawień.

Zamieszczone dziś zdjęcia dokonane zostały podczas przedstawienia w teatrze miejskim aparatem redakcyjnym przy sztucznem oświetleniu.

Zjazdy rodzinne.

Za przykładem Europy zachodniej i Niemiec powzięło zamiar kilka rodzin w Królestwie zorganizowania zjazdów rodzinnych i „Związków członków rodzin". Organizacya taka bezsprzecznie przyczynia się do zacieśnienia węzłów familijnych między członkami tego samego rodu, a na polu pracy narodowej może przy należytym rozroście tych związków wydać liczne owoce tak dla członków poszczególnych rodów jak i dla całego społeczeństwa. Na pierwszym planie inicyatorzy tych zjazdów rodzinnych stawiają kwestyę stworzenia funduszów, z których niezamożni członkowie mogliby w razie potrzeby czerpać pomoc pieniężną i z których możnaby stworzyć stypendya i zasiłki dla sierót i wdów.

Myśl zacna, przeobrażona w czyn najpierw przez rodzinę Chełmickich, znalazła dość szybko licznych naśladowców. Prócz zjazdu rodziny Chełmickich odbyły się już zjazdy Olszowskich, Zaleskich i Czarnowskich, a cały szereg zjazdów odbędzie się w najbliższym czasie.

40-letni jubileusz amatorskiej sceny.

Scena amatorska w każdem stowarzyszeniu jest bezsprzecznie jednym z najpoważniejszych czynników w rozbudzeniu życia towarzyskiego. Liczne w naszym kraju stowarzyszenia zawodowe a nawet partyjne rozumieją doniosłość sceny amatorskiej jako środka atrakcyjnego i każde z nich dokłada starań, by scenę swą postawić wysoko, tak by godnie spełniała ona zadania i w szarugę codziennego, ciężkiego życia, codziennej walki o byt wnosiła jasny, słoneczny promień światła.

Jedną z najstarszych scen amatorskich w Galicyi, jedną z najbogatszych i najokazalszych jest scena amatorska lwowskiego stowarzyszenia rękodzielników „Gwiazda", która w Nowy Rok obchodziła 40-letni jubileusz swego istnienia. Wielu ludzi, którzy przed 40 laty powołali do życia w lwowskiej



„Wielki Fryderyk" Nowaczyńskiego: Adolf Nowaczyński.

„Gwieździe" „Kółko amatorskie", którego zadaniem było pielęgnowanie sztuki dramatycznej na deskach sceny stowarzyszeniowej, zajmuje dziś wybitne stanowiska na różnych polach pracy społecznej. Koło tej sceny w samym początku jej istnienia zgromadzili się tacy ludzie, jak ś. p. Tadeusz Romanowicz, Kornel Ujejski i inni. Wystawiano sztuki tylko polskich autorów o treści podniosłej i patryotycznej. Wielu z tych, którzy pierwsze kroki stawiali na deskach sceny „Gwiazdy", święci dziś tryumfy i z powodzeniem występuje na wielkich scenach; do tych należą śpiewacy operowi: p. Alma w operze berlińskiej, p. Jan Borkowski w operze drezdeńskiej, p. Józef Szymański w operze lwowskiej, p. Senowski w teatrze krakowskim, pp. Kwiatkiewicz i Brzozowska w teatrze lwowskim. Niejednokrotnie zdarzało się, że artyści tej miary, jak Myszkowski, grali razem z amatorami „Gwiazdy".

Scena „Gwiazdy" posiada bogatą bibliotekę i rekwizyty teatralne, składające się z przeszło 600 kostyumów.

W dniu uroczystości jubileuszowej „Kółka amatorskiego" „Gwiazdy" przybyło do Lwowa wielu dawnych amatorów sceny stowarzyszeniowej, aby przypomnieć sobie dawne i miłe chwile młodości. Na program złożył się piękny poranek, na którym wiceprezes „Gwiazdy" p. Lech dał obraz rozwoju sceny amatorskiej w ciągu tych 40 lat, a wieczorem przy zapełnionej szczelnie sali odegrano z życiem i humorem operę narodową Kamińskiego „Krakowiacy i Górale".

Józef Mann.

Opera lwowska zaprezentowała w tym sezonie nową a bardzo niepospolitą siłę śpiewaczą w osobie tenora p. Józefa Manna. Publiczność lwowska znała go przedtem z występów na estradach koncertowych, ale jako barytonistę, obdarzonego pięknym i dźwięcznym głosem. Niespodzianką też była zapowiedź występu tego młodego śpiewaka w roli Jontka w „Halce" Moniuszki. Występ powiódł się nadspodziewanie dobrze, a p. Mann okazał się śpiewakiem pierwszorzędnym, o głosie ogromnie miłym, wyrównanym we wszystkich rejestrach, imponującym metalicznym dźwiękiem i siłą. Już ten pierwszy występ zjednał p. Mannowi sympatyę publiczności, a uznanie krytyki, która zgodnie podniosła prócz nadzwyczaj pięknego głosu, także inteligencyę artystyczną śpiewaka i jego doskonałą, zwłaszcza u debiutanta, grę aktorską.



„Wielki Fryderyk" Nowaczyńskiego: Dyrektor L. Solski jako Fryderyk II. w mundurze.



„Wielki Fryderyk" Nowaczyńskiego: Dyr. Solski i A. Siemaszko generał v. Ziethen).

Opinię tę utrwalił p. Mann występem w roli Cania w „Pajacach“. Był w niej doskonały. Wystawcy stwierdzili, że zbliżył się bardzo do tak znakomitych tej roli wykonawców, jak Bandrowski lub Męciński.

Przyszłość więc otwiera się przed młodym śpiewakiem świetna, a do ugruntowania jej przyczynią się niewątpliwie dalsze studya we Włoszech, dokąd p. Mann w najbliższym czasie zamierza się udać.

Zemsta masonów.

Masonerya francuska, której rządy pchają rzeczpospolitą wprost w przepaść i zamiast zapowiedzianej tolerancyi wyznaniowej szerzą niesłychany ucisk sfer szczerze katolickich, zmusiła rodaka naszego,



Zemsta masonów: Antoni Kłobukowski.

Antoniego Kłobukowskiego, od półtora roku pełniącego obowiązki generalnego gubernatora kolonii francuskich w Indo-chinach, do ustąpienia ze stanowiska, a to z tego tylko powodu, że wierny przekonaniom, naraził się decydującym obecnie we Francyi sferom.

Sfery te widocznie nie liczą się z tem, że tego rodzaju postępowaniem wyrządzają szkodę przedewszystkiem interesom państwa. Z pewnością bowiem nie znajdzie się rychło godny następca gubernatora Kłobukowskiego. Niepospolitemi zdolnościami, głęboką wiedzą i znajomością stosunków wśród narodów wschodnich, zdobył sobie ten dyplomata opinię jednego z najwybitniejszych polityków i mężów stanu. To też kiedy w lecie 1908 r. otrzymał nominacyę na gubernatora Indo-chin, prasa francuska nie szczędziła słów uznania dla nominata i zadowolenia z powodu powołania Kłobukowskiego na trudne i odpowiedzialne stanowisko.

Wystarczyła atoli drobnostka, by zdolnego i sumiennego pracownika usunąć z doniosłego posterunku, a prasa francuska, stojąca na żołdzie masońskim, nie znalazła ani słowa oburzenia. Wolność przekonań we Francyi staje się farsą.

Głosy publiczne.

Cyrk Edison: Atrakcyą programu od czwartku dnia 6. bm. do czwartku dnia 13. bm będą dwa zdjęcia artystyczne p. t. Rękojmia, podług dramatu Schillera i Carmen, granego przez najwybitniejszych artystów paryskich i rzymskich. Reszta programu składać się będzie ze zdjęć o treści pouczającej i zabawnej. —

Kącik humorystyczny.

Przy rygorozach.

— Proszę mi zdefiniować pojęcie państwa...

— Przepraszam, czy pan profesor ma na myśli państwo w ogólności, czy też specyalnie Austro-Węgry?...

Między lekarzami.

— Uważa kolega, tę metodę leczenia mogę polecić jak najlepiej. Pacyentowi ona prawdopodobnie zaszkodzi, przebieg kuracyi jest jednak bardzo interesujący!

W urzędzie statystycznym.

— Czy uważa pan radca, jak w ostatnich dwu tygodniach zmniejszyła się śmiertelność?

— Ano, nic dziwnego, od czasu aresztowania Hofrichtera boją się ludziska zażywać proszków i pigułek, to też i nie umierają...

Psycholog.

Pewien jegomość, który chciał między znajomymi uchodzić za Sherlocka Holmesa, wpada raz niespodzianie do pokoju swej żony i powiada do niej obcesowo:

— Tu był ktoś!

— Ależ, co ci do głowy przychodzi!?

— Tak jest, był! I powiem ci jeszcze, że to musiał być profesor, gdyż zostawił w kącie swój parasol...

W sądzie.

Sędzia: Oskarżona ma więc ile lat naprawdę

Oskarżona: Dwadzieścia ośm!

Sędzia: Ależ! Widzę tu w aktach, że przed trzema laty podała oskarżona ten sam wiek!

Oskarżona: Tak jest, panie sędzio! Ja wiem, że przed sądem należy mówić prawdę, a nie raz tak, drugi raz inaczej...

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. S. Tabiński Jastrzębia: Rzeczywiście w numerze 37, 61 i 66 zaszła pomyłka. Ma być: kiks, Kossak, kiosk i tak też należy wypełnić rozwiązanie.

WP. J. Badura Roździeń: Serdecznie dziękujemy za pamięć, z oferty jednak nie możemy skorzystać, gdyż teka nasza zaopatrzoną jest obficie w najnowsze powieści, których nam dostarcza nasz stały tłómacz.

WP. Burliga, Lwów: Błąd w wielkiej szaradzie, który powstał bez naszej winy, sprostowaliśmy w poprzednim numerze.

WP. B. Jaworski Kraków: Z łaskawie nadesłanej nam szarady konikowej skorzystać nie możemy, gdyż jest nader zawiła i trudna.

WP. A. Hybel Stary Sącz: Uprzejmie dziękujemy, lecz z łaskawej oferty, przynajmniej na razie, nie możemy skorzystać.

WP. Kozdroń Lisko: Stało się wedle żądania.

WP. Krupecki Warszawa: W konkursie o 100 koron należy się ściśle trzymać warunków, podanych w numerze pierwszym naszego pisma, z dnia 1 stycznia 1910. (Patrz: W sprawie naszej szarady konkursowej).

WP. W. Waligóra, Petersburg: Konieczuym warunkiem wzięcia udziału w konkursie jest nadesłanie rozwiązania na odnośnym kuponie.

WP. E. Linn, Drohobycz: Błąd został sprostowany w numerze pierwszym, z r. 1910.

WP. J. Gierzyńska, Szwejki: Kupon należy nadesłać wraz z kwitem na uiszczoną prenumeratę, a to najdalej do 31 stycznia b. r.

WP. S. Niedzwiedzki, Lwów: Wyrazy muszą być pochodzenia polskiego. Składać je można tylko z podanych ośmiu liter.

WP. E. Mrozińska, Bochnia: Odmian jednego wyrazu posyłać nie można.



Fot. Bahrynowicz i Szetkiewicz. Lwów.

Józef Mann w roli Cania w „Pajacach“.

WP. J. Baranowicz Kałusz: Wystarczy podać same wyrazy, bez oznaczenia liter cyframi.

WP. Fr. Ryś, Michałkowice: Rozwiązanie było dobre.

WP. W. Róniewicz, Kraków: Dziękujemy uprzejmie, rebusów jednak obecnie nie umieszczamy.

WP. T. Turlej, Włocławek: i Referent zagadek, który jest również kronikarzem, dziękuje za uznanie!

WP. A. Wilczek, Warszawa: Rozwiązanie otrzymaliśmy bez kuponu.

WP. M. Markiewicz, Ujście Solne: Brak kuponu.

WP. W. Pruszanowski, Bobrzysk: Duplikat kwity prenumeracyjnego otrzymać można w odnośnem biurze lub księgarni.

WP. M. Kiewliczowa, Wiłkomierz: Rozwiązania nadsyłać ...na do 31. stycznia włącznie.

WP. W. Rój, Jasło: Warunki konkursu są dokładnie podane Nr 1. z dnia 1. stycznia. Numer okazowy wysłany.

WP. H. Pinowski, Warszawa: Duplikat kwitu wyda chę...e biuro Ungra. Nadesłana na odpowiedź marka niema w Au...yi waloru.

WP. A. Jezierski, Kraków: Prócz rzeczowników mogą i inne części mowy.

WP. Dr. C. Waligórski, Grybów: Odnośne błędy zostały sprostowane.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 52.

Arytmograf: Franciszek Karpinski.

Łamigłówka: Przyjazd Czechów do Krakowa.

Logogryf: H. Modrzejewska, Dama kameljowa.

Zadanie konikowe:

Miłość, prawda wieczysta.
Klejnot boskiego tronu,
Miłość, krynica czysta,
Miłość krzepsza od zgonu...
Miłość zwycięża miecze,
Miłość przepływa morza
A więc kochaj człowiecze,
Bo miłość wo'a Boża!

Szarada: Żur, róż.

Zagadka przysłowiowa: Dobra psu mucha.

Zagadka: Tadeusz Kościuszko.

Szarada: Apolinary.

Zadanie do przestawienia: Co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O Górkowa Chyrów, Grono nauczycielskie Żarki, A. Łuszczkiewicz Żywiec, H. Wiewiórowski Warszawa, K. Fuchs Czeremchów, Z. Dębowski Łódź, W. Brzozowski Lisko, B. Grzesińska Kraków, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, B. Wilczyński Tarnów, S. Sokołowski Tarnopol, M. Mochnacki Koło, L. Solecki Kraków, B. Wilczyński Tarnów, M. Kopystyńska Rzeszów, M. Rabska Kraków, K. Zajączkowski Podegrodzie, J. Horak Gródek, W. Stapiński Kraków, S. Iwański Olszanica, A. Bocheński Krosno, S. Krzyszkowski Głogów, W. Roliński Poznań, K. Mayer Poznań, J. Bróż Kraków, B. Namysłowski Warszawa, M. Kalinowska Kalisz, J. Artwiński Kielce, K. Szymanowski Częstochowa, R. Gwozdecki Lwów, K. Lipowski Kraków, M. Ligęza Sandomierz, W. Ostrowski Rzeszów, G. Kwaśniewski Kołomyja J. Bandrowski Radom, M. Świrski Kraków, K. Krosiński Kołomyja, J Lewicki Warszawa, W. Thun Radomyśl, M. Krzyżanowski Przemyśl, K. Radoszewski Rzeszów, S. Lindenbaum Czerniowce, A. Balicki Kołomyja, W. Drożdż Tarnów, M. Aleksiewicz Lwów, P. Roth Kraków, J. Saft Łódź, B. Latoszyńska Kraków, K. Olpiński Lwów, L. Lemański Kraków, F. Urban Kraków, M. Świdzińska Łódź, B. Michalec Wiśnicz, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, W. Lasocki Rogóżno, K. Łopatyński Stanisławów, D. Engelberg Tarnobrzeg, S. Obmińska Warszawa, R Kratochwil Kraków, K Bernatowicz Rzeszów, M. Linderski Krosno, J. Kinalski Kołomyja, F. Schmidt Stanisławów, W. Rogalski Zaleszczyki, J. Wolski Kraków, S. Bielawski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **S. Iwański Olszaniea.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

18 (Ciąg dalszy).

Postanowił więc poszukiwania swe wprowadzić na inną drogę. Czy niemożliwem jest poznać nazwisko kapitana, którego wnuk emigrował, a prawnuk służył w armii Republiki i był przydzielony do Temple podczas więzienia rodziny królewskiej? Po wielu trudach zdołał zebrać listę nazwisk, z których dwa były do siebie bardzo zbliżone: de Larbeyrie za Ludwika XIV i obywatel Larbrie podczas terroru.

Miało to już pewne znaczenie. By nabrać wszelkiej pewności, napisał list otwarty do dzienników, w którym prosił o dostarczenie bliższych wiadomości o tym de Larbeyrie i o jego potomkach. Odpowiedział mu pan Massiban, członek Akademii.

„Szanowny Panie!

„Pragnę zwrócić pańską uwagę na ustęp pewien z Woltera, który znalazłem w jego rękopisie „Wiek Ludwika XIV“ (rozdział XXV). Ustęp ten bywał opuszczany w rozmaitych wydaniach.

„Słyszałem opowiadanie zmarłego de Caumartina, intendenta finansów i przyjaciela ministra Chamillarda, że król na wiadomość „o zamordowaniu pana Larbeyrie i o ograbieniu go z wspaniałej biżuteryi, wyjechał pospiesznie w karecie. Zdawał się być przytem „bardzo wzruszony i powtarzał: „Wszystko „jest stracone... wszystko stracone...“ Następnego roku syn tego de Larbeyrie i jego „córka, poślubiona markizowi de Velines, zostali wysłani do swych majątków w Bretanii. „Nie można wątpić, że to ma pewne znaczenie“.

„Tem mniej można wątpić, dodam od siebie, iż pan de Chamillard według Woltera był ostatnim ministrem, który znał tajemniczą postać w Żelaznej Masce. Widzi więc pan, iż ustęp ten nie jest pozbawiony znaczenia i że między tymi dwoma faktami istnieje ścisła łączność. Powstrzymuję się od stawiania hypotez co do postępowania, podejrzeń i domysłów w tym wypadku Ludwika XIV, z drugiej jednak strony ponieważ pan de Larbeyrie zostawił syna, który prawdopodobnie był dziadkiem obywatela oficera Larbrie i córkę, można przypuszczać, iż część jego papierów dostała się córce i że między tymi papierami znajduje się i ten egzemplarz, wyrwany przez kapitana z płomieni.

„Przejrzałem spis zamków. W okolicach Rennes mieszka jakiś baron de Velines. Może to jest potomek markiza. Na wszelki wypadek napisałem do tego barona z zapytaniem, czy niema jakiej starej książki, którąby w nagłówku miała słowo Igła. Oczekuję jego odpowiedzi. Z wielką przyjemnością chciałbym porozmawiać o tych rzeczach z panem. Jeżeli pan może, proszę mnie odwiedzić.

„P. S. Ma się rozumieć, iż odkrycia tego nie komunikuję dziennikom. Teraz, gdy pan zbliża się do celu, należy zachować zupełną dyskrecyę“.

Takiem było i zdanie Beautreleta. Posunął się nawet dalej, gdyż dwom dziennikarzom, którzy go wybadywali co do jego planów, udzielił najfantastyczniejszych informacyi.

Po południu pobiegł do pana Massibana, który mieszkał pod 17 numerem przy quai Voltaire. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się, iż pan Massiban niespodzianie wyjechał, pozostawiając dla niego bilecik, na wypadek gdyby się zjawił.

Izydor przeczytał w nim następujące słowa:

„Otrzymałem depeszę, która dodała mi nadziei. Jadę więc i nocować będę w Rennes. Pan może pojechać wprost do Velines. Spotkamy się w zamku, który znajduje się o cztery kilometry do tej stacyi“.

Pomysł ten podobał się Beautreletowi, a zwłaszcza myśl, iż przyjedzie do zamku prawie razem z Massibanem, gdyż obawiał się, by uczony z powodu swego niedoświadczenia nie popełnił jakiego błędnego kroku. Wrócił więc do przyjaciela i resztę dnia spędził razem z nim. Wieczorem wyjechał ekspresem do Bretanii. O szóstej godzinie przybył do Velines.

Cztery kilometry drogi przebył pieszo. — Z daleka już dostrzegł zamek, zbudowany w stylu Odrodzenia i Ludwika Filipa, prezentujący się jednak wspanile swemi czterema wieżyczkami i z spuszczanym mostem. Zbliżając się do zamku, Izydor czuł, iż serce jego mocniej bije. Czy rzeczywiście koniec tej sprawy będzie już teraz bliski? Czy zamek posiada klucz do tej tajemnicy? Doznawał pewnego lęku. Wydawało mu się to wszystko zbyt pomyślnem i myślał, czy przypadkiem i tym razem nie jest tylko powolnem narzędziem w rękach Lupina, jak również i pan Massiban.

Roześmiał się.

— Staję się komicznym, rzekł do siebie. Możnaby przypuścić, że Lupin jest rzeczywiście nieomylnym, wszystko przewidującym, którego nie zmoże żadna siła. I Lupin, do djabła, musi się mylić i on jest zależny od okoliczności. Lupin popełnia błędy i właśnie dzięki błędowi, jakiego dopuścił się, gubiąc dokument, mogę mu stanąć w poprzek drogi. Od tego zaczął się dalszy bieg wypadków. Obecnie nie czyni on nic innego, jak tylko naprawia swój błąd. I radosny, pełen ufności, Beautrelet zadzwonił do zamku.

— Pan sobie życzy?—zapytał służący, ukazując się na progu.

— Czy baron de Velines przyjmuje?

I podał swą kartę.

— Pan baron jeszcze nie wstał, lecz może pan zechce poczekać.

— Czy przybył już tutaj pewien pan o siwej brodzie, cokolwiek pochylony?— zapytał Beautrelet, który znał Massibana tylko z fotografii, jakie dzienniki podawały.

— Tak, ten pan przybył przed dziesięciu minutami i jest obecnie w westibulu. Jeżeli pan pozwoli za mną...

Spotkanie Beautreleta z Massibanem było bardzo serdeczne. Izydor podziękował mu za otrzymane odeń, tak doniosłe informacye, Massiban zaś okazał wielką gotowość służenia mu pomocą. Potem zamienili z sobą kilka spostrzeżeń co do dokumentu i powodzenia w odnalezieniu tej książki, przyczem Massiban powtórzył mu, co się dowiedział w Rennes o panu de Velines. Baron był mężczyzną sześćdziesięcioletnim, wdowcem od wielu lat, który żył odosobniony z córką swą Gabryelą de Villemon, osieroconą przez męża i starszego syna, zabitych w wypadku samochodowym.

— Pan baron prosi panów do siebie.

Służący zaprowadził ich na pierwsze piętro do dużego pokoju, w którym znajdowało się tylko biurko, szafa i kilka stołów, założonych papierami i księgami rachunkowemi. Baron przyjął ich nader uprzejmie, okazując wielką chęć do pogawędki, jaką można spotykać tylko u ludzi samotnych. Po pewnej chwili dopiero mogli przystąpić do wyłożenia celu swej wyzyty.

— Ach! tak. Pan Massiban pisał mi już o tem z Paryża. Chodzi o książkę, w której jest mowa o Igle i którą otrzymałem po przodkach, czy tak?

— Istotnie.

— Muszę panom powiedzieć, że poróżniłem się ze swemi przodkami. Mieli oni dziwne pojęcia. Ja jestem człowiekiem współczesnym. Zerwałem z przeszłością.

— Tak — przerwał zniecierpliwiony Beautrelet— lecz czy przypomina pan sobie tę książkę?...

— Owszem, przecież telegrafowałem o tem, — zawołał — zwracając się do Massibana, który w rozdrażnieniu spacerował po pokoju i wyglądał przez wysokie okna... ależ tak... a przynajmniej mej córce zdawało się, iż widziała tę książkę pomiędzy tysiącami innych, znajdujących się w bibliotece na górze... Dla mnie bowiem czytanie... Nie czytuję nawet dzienników... Moja córka niekiedy, od czasu do czasu, byle tylko jej synek, jedyny, jaki pozostał jej, był zdrów i miał się dobrze... I wtedy tylko, gdy moi dzierżawcy i czynszownicy regularnie zjawiają się z opłatą... Panowie widzą moje rachunki, żyję w nich i przyznam się, że nic nie wiem o historyi, o ktorej pan, panie Massiban, pisał do mnie...

Izydor Beautrelet, zdenerwowany tem gadaniem, nie chciał dłużej tego słuchać.

— Przepraszam pana, lecz co z tą książką?

— Moja córka szukała jej. Szuka jej od wczoraj.

— I co?

— Znalazła ją przed godziną lub dwiema godzinami. Gdy panowie przybyli...

— Gdzie ona jest?

— Gdzie ona jest? Położyła ją na tym stole... tutaj... niżej...

Izydor zerwał się z miejsca. Na brzegu stołu, na zwoju papierków leżała mała książeczka, oprawiona w czerwony safian. Przycisnął ją kułakiem, jakby bronił. by nikt się jej nie dotknął... a również jakby sam się bał ją wziąć.

— I co? — zawołał Massiban, cały wzruszony.

— Lecz tytuł... czy jest pan pewny?

— Ma się rozumieć, niech pan patrzy!

I pokazał tytuł, wyciśnięty złotemi literami na safianie: „Tajemnica Wydrążonej Igły“.

— Przekonał się pan teraz? Zdobyliśmy nareszcie tę tajemnicę?

— Pierwsza stronica... co jest na pierwszej stronicy?

— Proszę czytać: „Cała prawda wyjawiona po raz pierwszy. — Sto egzemplarzy odbitych dla nauki Dworu“.

— Tak, to właśnie, ta książka, szeptał zmie-
anym głosem Massiban, ten egzemplarz ocalony płomieni! Jest to książka, którą Ludwik XIV azał na spalenie.

Zaczęli przeglądać ją. Pierwsza część zawierała yjaśnienia, jakie kapitan Larbeyrie zapisał w swym mięniku.

— Idźmy dalej, idźmy dalej, rzekł Beautrelet, óry spieszył się, by poznać rozwiązanie tajemnicy.

— Jakto, idźmy dalej! wcale nie. Wiemy już, człowiek w Masce Żelaznej został uwięziony, poważ znał i chciał rozgłosić tajemnicę francuskiedworu królewskiego. Lecz jak on ją poznał? Dlaczego chciał ją rozgłosić? I wreszcie kto był tą dziwną postacią? Poboczny brat Ludwika XIV, jak to utrzymywał Wolter, czy też minister włoski Mattioli, jak tego dowodzi współczesna krytyka? Są wszystko pytania najpierwszej wagi!

— Później, później — sprzeciwiał się Beautrelet, jakgdyby obawiał się, by ta książka nie wymknęła mu się z rąk, zanim pozna tajemnicę.

— Ależ, opierał się Massiban, którego przejmowały historyczne szczegóły...

— Będziemy mieli czas później... potem... zobaczmy naprzód wyjaśnienie.

Nagle Beautrelet zatrzymał się. Dokument! Po rodku jednej strony, na lewo, oczy jego spoczęły a kilku wierszach zapełnionych tajemniczemi znaami i liczbami. Odrazu stwierdził, że wierszy jest ięć i tekst ich jest identyczny z tym, który tak ardzo studyował. To samo ułożenie znaków... te me odległości między nimi, tak iż można było doyśleć się słowa „demoiselles“ i „Aiguille creuse“ wydrążona Igła).

Poprzedzała je notatka: „Wszystkie niezbędne wiadomości zostały zawarte, zdaje się przez Ludwika XIII, w małym rysunku, który tu przepisuję. Następowały te tajemnicze wiersze.

Pod nimi znajdowało się samo tłómaczenie dokumentu.

Beautrelet czytał je wzruszonym głosem:

Jak widać wiersze te, choćby nawet liczby zamienić na samogłoski, nie dają żadnego wyjaśnienia. Możnaby powiedzieć, iż kto chce odcyfrować tę tajemnicę, musi ją przedtem poznać. Jest to co najwyżej nić kierująca, ale dla tego, kto zna ścieżki tego labiryntu.

Korzystajmy z tej nici i idźmy naprzód, a ja będę kierował waszemi krokami.

Naprzód czwarty wiersz. Czwarty wiersz zawiera miarę i wskazówki. Stosując się do wskazówek i odmierzając wypisaną miarę, dochodzi się stanowczo do celu, pod warunkiem, ma się rozumieć, że się wie, gdzie on jest i dokąd się idzie, jednem słowem, jeżeli się posiada istotne znaczenie Wydrążonej Igły. Poznać je można właśnie z trzech pierwszych wierszy. Pierwszy jest tak ułożony bym mógł zemścić się na królu, o czem go zresztą przestrzegłem...

Beautrelet zatrzymał się zdziwiony.

— Co? co się stało? rzekł Massiban.

— To nie ma sensu.

— Istotnie, niema w tem sensu: „Pierwszy jest tak ułożony, bym mógł zemścić się na królu, o czem go zresztą przestrzegłem.....“ Co to może znaczyć?

— Ah! do stu milionów dyabłów! — zawołał Beautrelet.

— Co takiego?

— Wyrwane! Dwie kartki! następne karty!... Niech pan patrzy na ślady!...

Trząsł się cały z gniewu i zawodu. Massiban nachylił się.

— Istotnie.., pozostały strzępy z dwóch kartek. Ślady wydają się zupełnie świeże. Nie były one wycięte, lecz wyrwane... wyrwane siłą... O, wszystkie kartki są nawet na dole pogniecione.

— Lecz kto? kto? — jęczał Beautrelet, zaciskając pięście... — służący? wspólnik?

— Może to stało się już przed kilkoma miesiącami — zauważył Massiban.

— Choćby... choćby... musiał ją ktoś wynaleść, brać tę książkę... A pan nic nie wie, — zwrócił się do barona, nikogo pan nie podejrzewa?

— Możemy spytać się o to córki.

— Tak... tak... może będzie wiedziała...

Baron zadzwonił na służącego i w kilka chwil potem ukazała się pani de Villemon. Była to młoda kobieta o bolesnym, zrezygnowanym wyrazie twarzy. Beautrelet zapytał jej zaraz:

— Pani znalazła tę książkę na górze w bibliotece?

— Tak, w paczce książek, które nie były rozpakowane.

— I pani ją czytała?

— Tak, wczoraj wieczorem.

— Gdy pani ją czytała, czy brakowało już w niej dwóch kartek? Czy przypomina sobie pani dwie kartki, jakie następowały po tych liniach samogłosek i liczb?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył E. Jezierski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko, w ostatnich czasach bardzo głośne.

□ — — — — —
— □ — — — —
— — □ — — —
— — — □ — —
— — — — □ —
— — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej ciemny, ponury. 2. Inaczej sprawa. 3. Bez połysku. 4. Łożysko rzeki. 5. Imię męskie. 6. Zdrobniałe imię żeńskie.

Szarada.

Ułożył K. L. Czortków.

Pierwsze, cel westchnień młodzieży
I rozkosz wdów i mężatek,
Drugie z trzeciem godność dzierży,
Czwarte użyte do dziatek,
Zawsze poi je radością;
Całość, nazwisko kobiety
Okryte nieśmiertelnością
Genialnem piórem poety.

Zagadka do przestawienia.

Ułożył E. Jez'erski, Kraków.

Z podanych liter utworzyć przez przestawienie znane polskie przysłowie:
Pantarka, mika, kij.

Zagadka do przestawienia.

Ułożył X. Y. Rzeszów.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie:
Ropa, boki, jar, pani, ze, sobie.

Logogryf,

Ułożył X. Y. Z. Kraków.

Z podanych zgłosek utworzyć szereg wyrazów, których początkowe głoski, czytane z góry na dół i końcowe, czytane z dołu do góry, dadzą nam nazwisko nowego podatku, proponowanego w Austryi przez ministra Bilińskiego.

a, a, ak, al, bok, dra, dy, e, ge, goż, ki, klep, mi, mo, mor, ne, nes, ni, no, o, o, po, ri, ro, row, sku, su, sy, ta, tai, toc, wa, za.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko magnackie polskie. 2. Kolonia francuska w zatoce Aden. 3. Grecki filozof. 4. Bożek miłości. 5. Znakomity myśliciel i estetyk francuski. 6. Zamek królów hiszpańskich obok Madrytu. 7. Starożytny zegar. 8. Wódz rosyjski. 9. Rzeka w Anglii. 10. Związek gazowy azotu z wodorem. 11. Miasto w Poznańskiem, pamiętne zamordowaniem króla Przemysława przez margrabiów brandenburskich.

Arytmograf.

Ułożył E. Jezierski, Kraków.

W miejsce cyfr wstawić litery, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Początkowe głoski nowych wyrazów, czytane z góry na dół, utworzą jedno z arcydzieł literatury powszechnej.

1 12 17 4 8 18
4 13 12 5 16 18
11 4 3 17 18 15
13 4 11 10 4 17 15
7 13 7 11 7 9 15
15 14 17 7 8 6 2

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta łaciński. 2. Imię męskie. 3. Miasto w Hiszpanii. 4. Zwierzę drapieżne. 5. Inaczej żywioł. 6. Język europejski.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Wymienić po jednem dziele podanych niżej pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą tytuł jednej z powieści Gąsiorowskiego.

Orzeszkowa ?
Krasiński ?
Mickiewicz ?
Weysenhoff ?
Kraszewski ?
Żeromski ?
Sienkiewicz ?
Słowacki ?

Zagadka.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Jestem wysepką w Persyi mnie znajdują,
Czy wprost, czy wspak, jednako czytują.

Logogryf.

Ułożył E. Jezierski, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery ich środkowe, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko, które niedawno zajęło uwagę całego świata.

□
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Liczebnik. 3. Miejsce popisów. 4. Inaczej świst. 5. Rozrywka w zimie. 6. Część mieszkania. 7. Jeden z przedmiotów naukowych w gimnazyum. 8. Najważniejszy czas dla rolnika. 9. Zdrobniałe imię żeńskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Juliusza Verne:* **Tajemnicza wyspa.** Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską, z illustracyami.